CENA ZŁ 20 **W numerze: Batowski, Folfasiński, Goliński, Osmańczyk, Telega, Wiktorczyk, Zelenay i inni**

SOPOT
ul.Czerwonej Armii 101
Wyższa Szkoła Handlu
Morskiego Biblioteka

BIBLIOTEKA NAUKOWA ... MORSKIEGO

Odra tygodnik

CZYTELNIK

WROCŁAW
KATOWICE

NUMER 14 (176) KATOWICE, WROCŁAW. SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 24 KWIETNIA 1949 ROKU ROK V

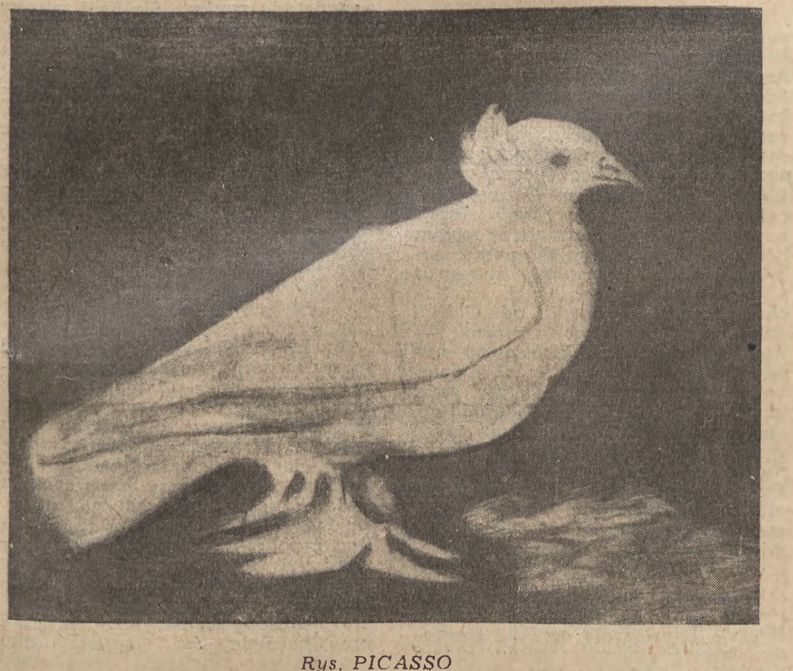

Rys. PICASSO

Grożą nam pokojem — oświadczył niedawno jeden z ministrów północno-amerykańskich. Grożą nad pokojem! Do tego już doszło, że najszlachetniejsze dążenie ludzkości uznane zostało jako groźne. No pewnie, skoro panowanie pokoju ma oznaczać zmierzch kapitalistycznych militarystów i polityków, którzy całą swą karierę zawdzięczają wrzaskowi wojennemu, skoro pokój przekreśli raz na zawsze egzystencjalistyczną niewiarę w człowieka, egzystencjalistyczny popłoch, jaki wzbudza mocna wiara w wartości ludzkie, nic dziwnego, że strach przedśmiertny podyktował ministrowi amerykańskiemu takie słowa.

A tymczasem u nas już nie tylko mówi się o pokoju. Wielkie dni Kongresu Paryskiego minęły w gorączkowym podnieceniu całej Europy. Wszędzie, na hutach i po kopalniach odezwały się chóry, potępiające wojnę. To, że robotnik katowicki czy wałbrzyski interesuje się sprawami szerokiego świata, że ciekawi go zawierucha indochińska i zbrodnia faszyzmu w Grecji, to dowodzi jedynie, że walcząc o sprawę tak słuszną jak pokój, znaleźć pragnie wszystkie możliwe argumenty, uzasadniające jego stanowcze stanowisko.

I gdy patrzy na krwawą komedię świata, gdy otwiera swe serce na przyjęcie jedynej prawdy życia, przekonuje się, jak słusznie zjednoczył się z tymi wszystkimi, którzy zaprotestowali przeciwko wojnie.

Żubry znamy jako zwierzęta muzealne już niemal, ginące i wymagające opieki. W perspektywie żubra cały świat ginie. Żubry kapitalizmu sądzą podobnie. My jednak nie zamierzamy chronić tych żubrów choćby nawet jako zabytki muzealne. Ich perspektywa jest perspektywą rozpaczy, ale zasłużyli na nią, skoro nie tylko próbowali przeciwstawić się zdrowemu pochodowi dziejów człowieka, ale nawet rzucić krwawy cień na jego prostą szlachetną drogę. Żubry kapitalizmu przeżywają swoją tragedię na swój sposób, to znaczy zamiast potulnie znosić swój los, potrząsają mieszkami dolarowymi i wciskają białym i kolorowym ludom broń do ręki, broniąc się przed „groźbą" pokoju. To zaś tym więcej nie usposabia nas sentymentalnie czy współczująco w stosunku do ginących.

Gdy giną jedni, wstają inni, zdrowsi i silniejsi. Silniejsi nawet nie złotem, pobrzękującym w dyplomatycznych walizkach, przemycanych do krajów, w których panuje pokój i odbudowa — lecz silniejsi pracą.

Jest czas, by ofensywa pokoju wyraziła się także w sposób konkretny w pracy naszych pisarzy. Nie wystarczą już krótkie oświadczenia i nie wystarcza publicystyka. Potrzebne są dojrzałe dzieła talentu, powieści i wielkie reportaże, które uzasadnią wartość wyboru naszej klasy robotniczej i wszystkich miłujących pracę ludzi i narodów. Jest czas, by w pracowniach pisarskich powstały książki, które raz jeszcze wskrzeszając grozę wojny, ukażą piękno pokoju w zgięciu pleców pochylonego nad koszonym łanem rolnika i nad złotymi iskrami sypiącym żelazem kowala. Nasza rzeczywistość stwarza najlepszy komentarz do pokoju. W niej jak w lustrze odbija się najlepiej pragnienie ludu. Do źródeł tej naszej rzeczywistości też pielgrzymować muszą wszyscy, którzy pragną zrozumieć działanie sił pokoju, działanie spontaniczne i jedyne.

„Groźba" pokoju nam nie zagraża! Nas ratuje. Zagraża im — i dlatego zbroją się i zbroją innych, oczywiście za pieniądze, wyciśnięte z głodnego kulisa.

Bóg nie chce wojny! wołają ludy całego świata. Oni jednak twierdzą, że Bóg każe im walczyć. Zostaniemy zatem przy naszym Bogu, który nakazał pokój. Ich bogiem bowiem jest pieniądz. Nic dziwnego, że ten bóg domaga się wojny, bo przez wojnę jedynie się pomnoży. Tak tak, żubry amerykańskie boją się i gołąbka, niewinnej ptaszyny, która symbolizuje pokój, i młodych górników, którzy podważają kłamstwa. (brz)

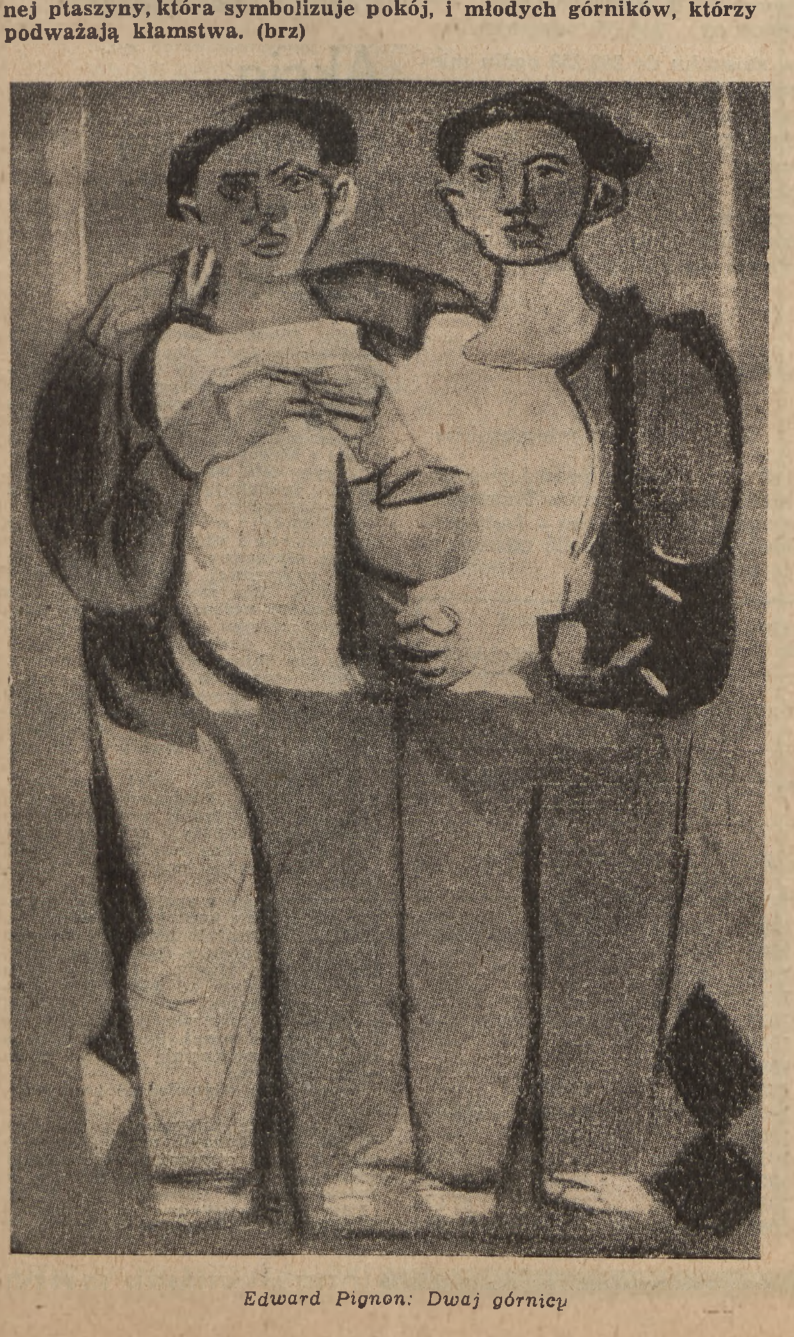

Edward Pignon: Dwaj górnicy

KAZIMIERZ GOŁBA

Robotnicza krew

W pierwszych dniach maja 1921 roku wybuchło na Górnym Śląsku trzecie powstanie robotnicze, skierowane przeciw nacjonalizmowi niemieckiemu, którego głównym przedstawicielem był panujący tu kapitał niemiecki. Po stronie Niemców stanęły oddziały wojsk angielskich, które wówczas stacjonowały na Śląsku. Po stronie Niemców stanęli renegaci i znacjonalizowana młodzież, importowana tu przez Freikorpy z głębi Niemiec. Po stronie robotniczych powstańców śląskich stanęli jedynie żołnierze francuscy i robotnicy polscy z głębi kraju. Przez dwadzieścia lat międzywojennych nic się nie zmieniło w ugrupowaniach wrogich sobie sił. We wrześniu 1939 znowu powstańcy śląscy z grupą młodzieży harcerskiej stanęli naprzeciw znacjonalizowanej już obłędnie młodzieży niemieckiej i renegackich Freikorpów. Te chwile przypomina nam w poniższym szkicu Kazimierz Gołba.

Niemcy nie taili, że Katowice we wrześniu 1939 sprawiły im kłopotliwą niespodziankę. Było to pierwsze miasto wojewódzkie, które mieli zająć, upatrzone z góry na stolicę przyszłego gauleitera i bazę operacyjną pierwszej klasy do zapędów germanizatorskich i zagłady narodu polskiego. Żadnego miasta nie byli tak pewni, jak Katowic. Liczyli, że pokaże im zaraz czysto niemieckie oblicze i powita ich wyłącznie „heilem" i kwiatami. A właśnie Katowice (wraz z Michałkowicami i Chorzowem) okazały się — poza Warszawą — jedynym ośrodkiem w Polsce, gdzie ludność cywilna — byli powstańcy śląscy i harcerze — stawiała zbrojny opór nie tylko bandyckim „freikorps‘om", lecz także regularnym formacjom „Wehrmachtu". Wszystko działo się już po wycofaniu się regularnych wojsk polskich, w sytuacji, która cienia nadziei dać nie mogła. To, że broniła się Warszawa, stolica ginącego państwa, symbol jego honoru, było dla Niemców bardziej zrozumiałe, zwłaszcza że nie było tam silnej „piątej kolumny", która mogłaby skutecznie uderzyć obrońców w plecy. Ale w Katowicach oczekiwali wybuchu niemieckiego fanatyzmu i wystąpienia bojówek, które miały opanować miasto przed wkroczeniem „Wehrmachtu". Wszystko to było obliczone i plan realizowany był z precyzją.

Tymczasem zdobywanie Katowic trwało całą dobę i kosztowało Niemców — według ich obliczeń — około 200 ofiar. Musieli bowiem złamać opór osiwiałych weteranów, wspartych przez młodych chłopców i dziewczęta. Po wkroczeniu nie odważyli się urządzić planowanej defilady przed generałem Neulingem. Wprawdzie szósta część ludności miasta — bo tylu Niemców było wówczas w Katowicach — wyszła wreszcie witać zwycięzców, lecz olbrzymia większość — sto tysięcy ludzi — jeśli nie opuściła miasta, zamknęła się w domach i nie wzięła w tych „heilach" udziału. Okrzyki te zresztą przerywał raz po raz terkot broni maszynowej.

Heroiczny opór powstańców znalazł echo w artykule „Die Katakomben in Kattowitz", który ogłosił wychodzący w Bytomiu „Der oberschlesische Wanderer", oraz w broszurze Georga Bartoscha „O. S. wird frei". Propaganda niemiecka nie mogła faktu tego ukryć, poprzestała zatem na tendencyjnym naświetlaniu znanych powszechnie wydarzeń. W jednym wypadku perfidia niemiecka użyła nawet walk powstańczych za pretekst do spalenia synagogi katowickiej wraz ze spędzonymi do jej wnętrza ofiarami. Doniesienie „Kattowitzer Zeitung" z dnia 9 września 1939 r., jakoby 7 września strzelali stamtąd powstańcy, jest wymysłem kryjącym wielką zbrodnię niemiecką. Do tego dodać należy histerię, rozpętaną w prasie wokół śmierci S. A. - Gruppenführera, Willi Pisarskiego, który zginął na czele freikorps‘u „Ebbinghaus" pod Michałkowicami. Sam dr Ley przyjechał „heilować" nad grobem ofiary „polskich bandytów", który to moment utrwalili fotoreporterzy.

Ale już w najbliższych dniach przystąpili Niemcy do zacierania pamięci walk z ludnością cywilną. Trzeba było wykazać, że polskość Katowic jest fikcją. Obrońcy zostali wymordowani przy ul. Zamkowej, bądź rozstrzelani na hałdach w parku Kościuszki i w lasku panewnickim, a Katowice zasypano przywiezionymi z Reichu swastykami i wielkimi płachtami transparentowymi z krzyczącym napisem: „Wir danken unserem Führer!" Niebawem zaczęły się masowe wysiedlania i najbardziej brutalne tępienie mowy polskiej. Kupców zmuszano do umieszczania na wystawach sklepów hasła: „Wer polnisch spricht, ist unser Feind!"

By przypadkiem Ślązacy nie zrozumieli tego jako zachęty, że mogą mówić swoją gwarą, nie uważaną przez Niemców za język polski, dodano inny napis: „Wir Oberschlesier sprechen nur deutsch!" A gdy i to nie pomogło, rozpowszechniano błagalny apel do dzielnicowego obowiązku: „Erfülle deine Heimatspflicht: sprich deutsch!" Z takimi napisami nie ośmielili się Niemcy wystąpić na innych ziemiach polskich.

Katowickie więzienie przy ul. Mikołowskiej wyposażono w narzędzie cichej śmierci — gilotynę, która pracowała bez przerwy i bez huku, jakim płoszyły mieszkańców miasta salwy plutonów egzekucyjnych. Nikt ofiar jej nie zliczy. Na terenie „prowincji" katowickiej istniało prócz tego straszne więzienie mysłowickie, a niebawem utworzono znany dziś całemu światu obóz śmierci w Oświęcimiu.

Od Katowic też zaczęli Niemcy wprowadzanie osławionej „Volkslisty". Nigdzie w Polsce nie stosowano tak silnej presji, nigdzie nie używano tak brutalnych metod do skłonienia mieszkańców, by przyjęli narodowość niemiecką, jak właśnie tutaj. Dzieci i młodzież zmuszano do pobierania nauki w szkołach niemieckich (polskich nie otwarto tu wcale!), gdzie zatruwano je jadem niemczyzny, narzekając jednocześnie na ich „cudzoziemski" akcent i wymowę. Wciągano też młodzież do H. J. i B. D. M., a starsze roczniki męskie do „Wehrmachtu". W kościołach zniesiono polskie nabożeństwa, a księżom zakazano słuchania po polsku spowiedzi. Tego w innych dzielnicach Polski nie było.

Te wszystkie zabiegi konieczne były jednak do przerobienia Katowic na hitlerowską „Gauhauptstadt". Gauleiter Fritz Bracht, z zawodu ogrodnik, głosił w mowach swoich, że Polski nigdy już nie będzie i że dla Polaków nie ma innego miejsca na kuli ziemskiej — jak G. G. z łaski „Führera". Sądził widocznie, że metodą ogrodniczą uda mu się z ziemi śląskiej wyrwać polskie „chwasty", a wyhodować na ich miejscu nowe szczepionki czystej rasy — nordyckiej.

Mimo to w Katowicach, jak i na całym Śląsku „wojewódzkim", szerzył się ruch podziemny. Tu wychodziła pierwsza gazetka podziemna „Ku Wolności", stąd przewozili pocztowcy śląscy w ambulansach „Deutsche Reichspost" sekretne paczki dla działaczy podziemnych w Warszawie, z którymi utrzymywano kontakt przez kurierów. Stąd szła akcja pomocy dla Polaków w G. G. i ofiar w Oświęcimiu w ramach tzw. funduszu gen. Sikorskiego. Wielu synów ziemi śląskiej brało udział w partyzantce leśnej i w robocie sabotażowej. Na dworcu katowickim śpiewali wyjeżdżający na front Ślązacy, przyodziani w mundury „Wehrmachtu": — „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani?"

Trudności jednak były olbrzymie, bo na tym terenie przypadał w okresie okupacji jeden Niemiec na trzech Polaków, podczas gdy w G. G. jeden na trzydziestu dwóch (por. A. Targa: „Śląsk w okresie okupacji, str. 33). Znane są dzieje tragiczne prowokacji i zdrady trzech renegatów śląskich — Grolika, Kamperta i Ulczoka, którzy wydali w ręce Gestapo setki działaczy podziemnych. Mimo to cały aparat policyjny Rzeszy nie mógł złamać polskiego oporu w Katowicach i na całym Górnym Śląsku. Wspaniałe dowody jego wierności dla Polski znajdujemy w tajnych raportach Gestapo, wydanych i opracowanych przez Kaz. Popiołka („Śląsk w oczach Gestapo", Katowice 1948), oraz w licznych przykładach, cytowanych w pięknej książce Zb. Bednorza „Śląsk wierny Ojczyźnie" (Poznań 1946).

Tak było w czasie, gdy Niemcy walczyli w Stalingradzie i na Kaukazie, dochodzili do delty Nilu, sięgali przez Syrię po Irak i zdawało się, że zdobędą cały świat.

Tymczasem front cofnął się znad Wołgi nad Wisłę. W Katowicach coraz głośniej rozbrzmiewał język polski i Niemcy byli wobec tego bezsilni. Czynili teraz gorączkowe wysiłki, by zabezpieczyć „Gauhauptstadt" przed Armią Czerwoną i spędzali całą okoliczną ludność polską do budowania linii obronnej na wschód od zagłębia węglowego. Gdy w styczniu 1945 r. wojska radzieckie ruszyły do ostatecznej ofensywy, linia obrony Śląska trzymała się tylko przez tydzień. Tyle zaledwie, by umożliwić przybłędom z Rzeszy i miejscowym gorliwcom niemieckim paniczną ucieczkę na zachód.

Dnia 26 stycznia wojska marszałka Koniewa zniosły tę linię obronną, przebijając się równocześnie do Gliwic. Katowice zostały całkowicie osaczone, a obrona ich pozbawiona wszelkiego sensu. Niemcy zdążyli jedynie wysadzić w powietrze dwa mosty kolejowe na Pszemszy, jeden na Brynicy i wiadukt nad ulicą Francuską w centrum Katowic. Zniszczenia te nie wstrzymały ani na chwilę pochodu zwycięzców, których czołgi w rannych godzinach 27 stycznia wjechały od wschodu do Katowic. Przyszło do bezładnej strzelaniny wzdłuż głównej arterii od Zawodzia po rynek, przy czym padło ofiarą kilka domów, uszkodzonych pociskami działowymi, oraz górne przewody tramwajowe. Opór Niemców, broniących polskiego miasta, trwał znacznie krócej, niż walka wrześniowych bohaterów, którzy bronili swego. Trupy poległych leżały przez wiele dni na śniegu i mrozie, zanim nowoutworzone polskie władze miejskie przystąpiły do ich usuwania.

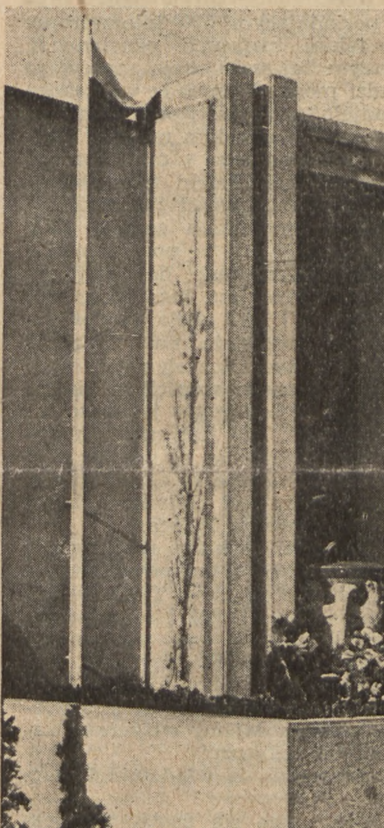

Pomnik na miejscu rozstrzelania bohaterskich harcerek, harcerzy i powstańców w dniu 3 września 1939 Padli w obronie Katowic już po opuszczeniu miasta przez władze i wojsko polskie.

Foto Czesław Datka

Na tych samych ulicach, które we wrześniu 1939 r. krzyczały czerwienią transparentów: „Wir danken unserem Führer!" — pojawiły się w pierwszych dniach lutego 1945 r. brygady robocze miejscowych przedstawicieli „Herrenvolku" z łopatami pod strażą polskich milicjantów (bez mundurów jeszcze, z biało-czerwonymi opaskami). Wielbiciele „Führera" musieli teraz własnymi rękami naprawiać zniszczenia, dokonane przez wojnę, jego rozkazem rozpętaną.

Odwróciła się karta ...

Katowice odzyskiwały szybko swoje polskie oblicze. Wymazana przez okupanta mowa polska zapanowała tu wszechwładnie. Niemczyzna, która przed wojną drażniła nieraz uszy Polaka, z centrum kraju przybyłego, okazała się przejściowym nalotem, który szybko znikał w miarę, jak resztę Niemców jako nie pożądanych gości wyprawiano do Reichu, skurczonego od wschodu przykładnie.

Katowice zdały egzamin z polskości, o którą tak uparcie walczyły.

Czy jednak Niemcy wyjechali stąd wszyscy? Czy pod maską Polaka nie ukrył się żaden?

Niech na to pytanie da odpowiedź wzmożona czujność całego polskiego społeczeństwa! Na laurach zasypiać nie wolno!

Kazimierz Gołba

Śpiew wojów śląskich

Siodła — kołyski bojowe,
kukułek nuty po lesie,
na hełmach srebrzyste nowie,
pachnąca jabłkami jesień.

Grody czerwone i białe,
wąwozy, rzeki i góry,
nad bukiem płomiennym skały,
w echach złamane pioruny...

Z mieczów i włóczni są pułki,
w wiecznie zielonej dąbrowie
wciąż pytające kukułki,
siodła — kołyski bojowe.

(Z poematu Stefana Flukowskiego: X. Dunikowski).

Łużycki socjalista

Jan Skala urodził się 17 czerwca 1889 roku w Nebielczycach (Nebilschütz, pow. kamieniecki). Był synem biednego robotnika.

Po ukończeniu szkoły powszechnej, przenosi się do Budziszyna do szkoły dziekańskiej, a następnie do seminarium nauczycielskiego. Jednakowóż niemieccy nauczyciele uniemożliwiają młodemu Serbowi dalsze studia na skutek czego młody Skala odchodzi i zmuszony jest przyjąć pracę w fabryce ceramiki.

Od tej chwili Skala nie tylko stał się proletariuszem, ale zapoznał się także bliżej z problemami robotniczymi. Dzięki temu zaczyna się coraz bardziej interesować zagadnieniami socjalnymi. Dokształca się jako samouk. Czyta bardzo dużo, przede wszystkim z dziedziny polityki. Zapoznaje się dokładnie z dziełami Marxa. Studiuje teorię marksizmu, co uwidacznia się w jego wszystkich artykułach zamieszczanych w „Dzienniku Serbskim" i w „Kulturwehr". Wpływ marksizmu uderza również w jego twórczości poetyckiej. Skala jest zresztą pierwszym poetą łużyckim, który w swych utworach silnie potrąca o ton zagadnień socjalnych. Kocha ogromnie swój naród, kocha go mocarnym uczuciem dziecka proletariatu; uczucia te zaszczepił w nim jeszcze w młodości jego nauczyciel Franciszek Kral z Rachlowa. W duszy młodego Skali przeradza się stary nacjonalizm w postępowe formy patriotyzmu — w patriotyzm socjalistyczny.

Po wojnie światowej, którą Skala przebył na Bałkanach, wraca do domu, już z pewnym programem ideologicznym. Ma cały szereg dobrych zamysłów, ale niestety mało pieniędzy w kieszeni. Zaczyna pracować w szeregu organizacji. Wydaje w Białej Wodzie łużycko-serbski dziennik „Serbski dziennik dla Dolnych i Górnych Łużyc". Swoją działalność polityczną chciał oprzeć na całkiem innych podstawach aniżeli „Serbski Związek" i „Serbski Narodny Wubjerk" z Bartem i Brylem na czele, ale brakowało mu — jak już wspomnieliśmy — pieniędzy. Dlatego pozostaje w obozie „Łużyckiej ludowej strony", której organ „Serbski dziennik" redaguje od 1919 r. do 1921, tj. do jego likwidacji. W roku 1920 kandyduje w wyborach ze swego stronnictwa. Po zlikwidowaniu „Serbskiego dziennika" przechodzi do redakcji „Serbskiej gazety". Tam bliżej styka się z małomieszczańską polityką Barta, która zupełnie mu nie odpowiada, przeto zrywa z nią zupełnie i przenosi się do Pragi do „Prager Presse".

Jan Skala

W roku 1925 przenosi się do Berlina. Zostaje przewodniczącym „Związku Mniejszości Narodowych w Niemczech". Od roku 1925 do 1936 redaguje organ mniejszości „Kulturwehr", poświęcony obronie praw mniejszościowych w Niemczech. Artykuły jego zamieszczane w „Kulturwehr" świadczą o jego wzrastających coraz bardziej zainteresowaniach socjalistycznych, o wybitnym wpływie rozwoju socjalistycznego w ZSRR. Wszystko to objawia się w projektach Skali odnośnie regulacji życia mniejszości narodowych w Niemczech. W artykułach swych opiera się przede wszystkim na „Zagadnieniach narodowościowych" Józefa Stalina, wydanych w roku 1913 i na „Deklaracji praw narodu" z 15 listopada 1917 roku.

W roku 1929 wygłosił na Śląsku niejaki dr Laubert pewną ilość referatów o czynnościach „Heimatdienstu", a między innymi wystąpił z zarzutami przeciwko łużyckim Serbom: Skala wystąpił w jednym z artykułów, zamieszczonych w „Kulturwehr", przeciwko dr. Laubertowi, w odpowiedzi na co dr Laubert podał skargę do sądu. Rozprawa odbyła się we Wrocławiu. Skala domagał się na podstawie art. 113 niemieckiej ustawy używania w stosunku do siebie języka serbsko-łużyckiego. Sąd sprzeciwił się temu żądaniu nie uważając Serbów łużyckich za mniejszość. Mimo to Skala zeznawał na początku w języku macierzystym, dopiero po wielu przekładaniach sędziego nie chcąc specjalnie przedłużać rozprawy zgodził się na język niemiecki. Demonstracja Skali znalazła nawet oddźwięk w prasie zagranicznej. W kwietniu 1929 r. Skala bawi w Jugosławii gdzie wygłasza odczyty o Łużycach. W 1936 r. zostaje pozbawiony stanowiska redaktora, a w 1938 zamknięty. Po blisko rocznym więzieniu wraca do rodziny, złamany duchowo i fizycznie.

Podczas wojny pracuje do roku 1944 jako korektor, a następnie zostaje wysłany na przymusowe prace na Śląsk, gdzie doczekał się wyzwolenia, niestety na krótki czas, bo dnia 21 stycznia 1945 roku ginie w tragiczny sposób.

(*„Nova Łużice"*)

Rozmowy z marynistami [XVII]

Szkolimy ludzi morza

Rozmowa z dyr. Państw. Centrum Wychowania Morskiego

Młodzież w służbie morskiej w porcie szczecińskim

Zasadnicza przebudowa naszego stosunku do spraw morza wymagała w państwie naszym, posiadającym 500 kilometrowy dostęp do morza, stworzenia takiej instytucji państwowej, która by zajęła się w jak najszerszym zakresie akcją masowego wychowania i szkolenia nowych ludzi morza — przede wszystkim wśród młodzieży. Tego zadania podjęło się **Państwowe Centrum Wychowania Morskiego** — instytucja, która szerokim rzeszom młodzieży stworzyła realne podstawy bezpośredniego i praktycznego zetknięcia się z morzem i jego przejawami. Dzięki temu każdy chłopiec w Polsce ma dzisiaj doskonałe możliwości poznania na **bezpłatnych, letnich kursach morskich** wszystkich zadań, jakie stoją przed prawdziwymi ludźmi morza. Kursy te pomyślane są w ten sposób, że są podstawą selekcji i ewentualnej dalszej pracy w zawodowym szkolnictwie morskim. PCWM jest więc najszerzej pojętą wstępną szkołą morza dla młodzieży i jako akcja, pomyślana bardzo racjonalnie planowo i szeroko, zasługuje na szczególną uwagę. Aby zorientować się dokładnie w zasadniczych założeniach Państwowego Centrum Wychowania Morskiego zwróciłem się do jej dyrektora, p. **Józefa Michałowskiego,** będącego jednocześnie naczelnym redaktorem „Młodego żeglarza". Nie jest rzeczą przypadku, że ten sam człowiek łączy dwie, pozornie różne, funkcje. Praktyczna akcja PCWM wiąże się bowiem ściśle z teoretycznymi zagadnieniami morskimi, którym poświęcony jest „Młody żeglarz". jedyne dziś tego rodzaju pismo młodzieżowe w Polsce.

— Chłopiec — informuje p. Michałowski — który rzeczywiście pragnie zaznajomić się z pracą na morzu, nie tylko powinien, ale musi najpierw przygotować się do niej teoretycznie. Tylko w ten sposób może wynieść z niej korzyść. Kursy PCWM nie są pomyślane jako okazja do plażowania się i opalania, lecz jako realna praca na morzu, wymagająca nie tylko sprawności fizycznej, lecz także wiedzy o morzu. Dlatego na nasze kursy przyjmujemy tylko tę młodzież, która wykaże się znajomością pewnego minimum wiedzy o morzu i jego sprawach. To maksimum dajemy właśnie w naszym piśmie młodzieżowym — „Młodym żeglarzu".

— Jak praktycznie wygląda to sprawozdanie wiadomości morskich?

— Po prostu każdy chłopiec, który chce się dostać na bezpłatne kursy PCWM musi prenumerować „Młodego żeglarza" i zapoznać się w ten sposób ze stałymi przygotowawczymi kursami korespondencyjnymi o morzu, które prowadzimy w tym piśmie. Zgłaszając swe przystąpienie na kurs kandydat zapoznaje się z tymi artykułami i wypełnia na tej podstawie arkusz pytań, sprawdzających stopień przyswojenia materiału, objętego teoretycznym kursem. Odpowiedzi są punktowane, a ilość uzyskanych punktów wpływa na kolejność przyjmowania. Proszę zobaczyć kilka takich zadań.

Przeglądam z zainteresowaniem 4 zadania, objęte kursem przygotowawczym, wypełnione poprawnie przez kursanta z Jeleniej Góry, Dostala Wojciecha. Pierwsze zadanie polegało na sporządzeniu mapki Wybrzeża polskiego, drugie na wyszczególnieniu rzek wpadających do Bałtyku na obszarze polskiego Wybrzeża, trzecie na wynotowaniu wszystkich portów Okręgu Szczecińskiego i Gdańskiego, czwarte — może najtrudniejsze — na odpowiedzi na pytanie: „Czym różni się statek drobnicowy od statku ładunków masowych". Zadania wypełnione są niezwykle starannie, pismem technicznym, przy czym do zadania czwartego dołączone zostały przez kursanta, oprócz szczegółowej i poprawnej odpowiedzi, dwa piękne rysunki, uwydatniające wyraźnie różnicę między dwoma statkami.

— A jak wygląda, panie dyrektorze, praktyczny kurs pracy morskiej?

— Na kursach pracy morskiej przewiduje się następujące zadania: ćwiczenia na szalupach, będących w miniaturze najprostszym statkiem morskim, aby w ten sposób rozpowszechnić elementarne zrozumienie warunków pracy na morzu. Dalej: pomoc robotnikom portowym przy przeładunkach, na stoczni, w wędzarni, w fabryce konserw, wyjazdy na połowy z rybakami na kutrach lub łodziach oraz gruntowne zwiedzanie portu i kilku statków. Ma to na celu wypróbowanie pracy fizycznej młodzieży w podstawowych dziedzinach działalności morskiej na Wybrzeżu — w porcie, stoczni i rybactwie — aby ułatwić zrozumienie wielkiego warsztatu pracy morskiej. Jednocześnie daje nam to możność przeprowadzenia, przy pomocy fachowych instruktorów i wychowawców, należytego wyboru kandydatów do zawodu marynarza lub rybaka wśród chłopców najzdrowszych, najwytrzymalszych, karnych i zdyscyplinowanych, nadających się pod każdym względem do tych zawodów i dopuszczenie ich do wstępnych egzaminów konkursowych.

— Czyli zadaniem PCWM jest szkolenie kadr marynarskich do Szkoły Jungów i przygotowanie obsady dla polskiej floty dalekomorskiej?

— Tak. Poza tym chodzi o upowszechnienie rzetelnej wiedzy o morzu oraz propagandę pracy na morzu wśród młodzieży oraz przygotowanie kandydatów do szkolnictwa morskiego.

— Jak długo trwa taki kurs?

— Dwa tygodnie. Dla wyłonionych przez selekcję najlepszych kandydatów do Szkoły Rybaków Dalekomorskich czy Szkoły Jungów, względnie tych, którzy w przyszłości zamierzają wstąpić do Państwowej Szkoły Morskiej kurs jest przedłużony o dalsze 2 tygodnie. W ciągu tego czasu odbywają kandydaci ćwiczenia szalupowe, zakończone szczegółowym badaniem lekarskim, egzaminem z zakresu szkoły powszechnej, względnie dla kandydatów do PSM z zakresu gimnazjalnego i ostateczną selekcją.

— W jakich ośrodkach odbywają się kursy?

— W Gdyni, Szczecinie, Dziwnowie, Łebie i Darłowie.

— Czy dużo kandydatów ukończyło teoretyczny kurs korespondencyjny w roku 1948?

— Ilość uczestników przekroczyła liczbę 5000. Zgłoszenia napływają ze wszystkich ośrodków kraju.

— A ilu ukończyło kursy praktyczne w ubiegłym roku?

— Dokładnie 2312 uczestników, w tym 1247 kandydatów do szkolnictwa morskiego i 1065, nie kandydujących do szkolnictwa morskiego.

— Słyszałem, że prowadzicie też kurs „przodowników wychowania morskiego". Na czym polega ta akcja?

— Każdy z uczestników kursu pracy morskiej ma prawo ubiegać się o przyjęcie w następnym roku na tak zwany „kurs przodowników wychowania morskiego" pod warunkiem, że przez cały okres między dwoma kursami pogłębiać będzie drogą samokształcenia swoją wiedzę o sprawach morskich, z którą zetknął się w czasie odbytego już kursu pracy morskiej. Jednocześnie kandydat taki obowiązany jest do szerzenia w środowisku swoich kolegów propagandy spraw morskich. Oczywiście najlepiej wywiązują się z tego zadania ci chłopcy, którzy czynnie pracują w Lidze Morskiej, zwłaszcza w swoich Kołach Szkolnych Ligi Morskiej. Przez zimę i wiosnę kandydaci na przodowników wykonują zadania ze swej pracy. W lecie odbywa się kurs dla nich w jednym z ośrodków PCWM. Program kursu przewiduje szkolenie żeglarskie. Po kursie najlepsi uczestnicy skierowywani są do ośrodków PCWM w charakterze przodowników.

— Kiedy PCWM został uruchomiony?

— W początkach 1946 roku przez ministra Jędrychowskiego i wiceministra dr Kazimierza Petrusewicza.

— Akcja PCWM jest więc doskonałą wstępną szkołą morską. A jak wygląda nasze zawodowe szkolnictwo morskie?

— Do zawodu marynarza na statkach Polskiej Marynarki Handlowej przygotowuje prowadzona przez nas **Szkoła Jungów.** Czas trwania nauki wynosi 1 rok.

— A do zawodu oficera na statkach Marynarki Handlowej?

— Do zawodu oficera przygotowują 2 szkoły: Państwowa Szkoła Morska w Gdyni, kształcąca oficerów mechaników i Państwowa Szkoła Morska w Szczecinie, kształcąca oficerów-nawigatorów. Czas trwania nauki wynosi 3 lata.

— Czy uruchomiono już Szkołę Rybaków kutrowych?

— Na razie jeszcze nie. Ale jest to bardzo realny projekt i niewątpliwie wkrótce będzie zrealizowany.

— Istnieją też, zdaje się, szkoły specjalne, kształcące majstrów stoczniowych, oraz techników budowy okrętów?

— Tak. Do zawodu majstra stoczniowego przygotowują dwie Średnie Szkoły Metalowe przy Stoczni Gdyńskiej oraz przy Stoczni Gdańskiej. Fachowców stoczniowych przygotowuje też Gimnazjum Mechaniczne Zjednoczonych Stoczni Polskich w Gdańsku. Natomiast techników budowy okrętów kształci Liceum Budownictwa Okrętowego w Gdańsku. Inżynierów przygotowuje Politechnika Gdańska.

— A pracowników administracji morskiej, przedsiębiorstw żeglugowych czy maklerskich i spedytorskich itp.?

— Tych kształci na stopniu licealnym Wydział Handlu Morskiego i Administracji Morskiej przy Liceum Handlowym w Gdyni, a na stopniu wyższym Wyższa Szkoła Handlu Morskiego w Sopocie. W roku bieżącym przewiduje się też uruchomienie Liceum Administracji Morskiej. Zresztą do pracy w adminstracji i handlu morskim można się też przygotować w głębi kraju na wyższych uczelniach, na których wykłada się przedmioty, związane z morskimi zagadnienami. Np. w Akademii Handlowej w Krakowie wykłada się prawo morskie i organizację handlu morskiego, w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie i Łodzi — transport morski, żeglugę morską i wykłady o portach śródziemnomorskich. W Akademii Nauk Politycznych w Warszawie — politykę morską, w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego na Studium Rybactwa przygotowuje się na poziomie akademickim specjalistów z dziedziny rybołóstwa; dla lekarzy zaś pragnącychh się specjalizować w medycynie morskiej urządza kilkumiesięczne studium Instytut Medycyny Morskiej w Gdańsku.

— Wróćmy jednak do Waszej Instytucji. Podobno macie zamiar wydawać „Biblioteczkę morską"?

— Tak. Będzie ona dostarczać popularno-naukowej lektury dla młodzieży z zakresu elementarnej wiedzy o morzu.

— Czy rozporządzacie własnymi statkami dla celów szkolnych?

— Oczywiście. Posiadamy dwumasztowy szkuner „Zew morza". Statek ten może zabierać około 30 uczniów i praktykantów oraz 6 osób stałej załogi. Drugi bliźniaczy statek jest już, w budowie. Uczniowie PCWM korzystają też przez 8 do 9 miesięcy w roku ze statku szkolnego „Dar Pomorza". Dla celów szkolenia rybackiego posiada PCWM 2 trawlery rybackie: Neptun i Neptunia oraz 2 kutry Gdy 52 i Gdy 84. Oprócz tego dla obu szkół i kursów stoją do dyspozycji łodzie motorowe, szalupy, jachty i łodzie rybackie. Ogółem stan flotylli PCWM wynosi 87 jednostek.

— Oficjalnym Waszym organem prasowym jest „Młody żeglarz"?

— Tak. Zrezygnowaliśmy z samodzielnego wydawania dawniejszego „Żeglarza" i aby nie stwarzać dwutorowości w czasopiśmiennictwie morskim dla młodzieży i stworzyć możliwie najlepszy organ prasowy dla młodzieży morskiej wydajemy teraz wspólnie z SP, Marynarką Wojenną i Ligą Morską — „Młodego żeglarza".

Akcja wychowania morskiego i morskiego szkolenia zawodowego znajduje się więc na najlepszej drodze. Wyrośnie z niej nowe pokolenie ludzi morza, dla których morze straci posmak nierealnego egzotyzmu i obcości, a pojęcie statku, portu, stoczni czy sieci rybackiej będzie tak swojskie i proste, jak dotychczas pojęcie fabryki, kolei czy pługa. Wówczas sprawy morskie nie będą się kończyły w świadomości przeciętnego Polaka na wąskim pasie nadbrzeżnym, lecz przenikną w głąb lądu i zwiążą się w całym kraju z wieloma procesami produkcji, transportu czy wymiany zagranicznej.

Stanisław Telega

Życiorysy miast

Było ich czterdziestu

Pięknym, pogodnym pachnącym lipami wieczorem stałem w oknie szeroko otwartym, jednego z niewielkich domków przy ulicy Oławskiej. Tu ulica Oławska jest już właściwie za miastem. Od cmentarnego muru, ponad którym faluje chmura pysznych, zielonych drzew, odbiega dalej, ku polom. Obrzeża ją kilka domów, z których część zrujnowała wojna. Okalają ogródki działkowe. Na przydrożnych jabłoniach zawiązały się drobniutkie, zielonkawe owoce.

Stojąc więc w rozchylonym oknie, bardzo się zadziwiłem usłyszawszy daleki huk grzmotu. Podejrzliwie spojrzałem w górę. Niebo było czyste bez chmurki. Jasny, banalny błękit jak na marnym oleodruku. Słońce ogrzewało mi twarz. Nie zapowiadało nadciągającej burzy.

Gdybym w tym dniu lipcowym rozporządzał jakowąś wiedzą o przemyśle strzelińskim, nie zdziwiłyby mnie na pewno owe grzmoty dalekie, wiedziałbym bowiem o tym, że tak samo jak Paryż ma dzięki swej wieży Eifla, najwyższą budowlę na kontynencie, Rzym najwspanialszą bazylikę, a Moskwa najlepsze teatry, tak mały, nikomu nieznny, zniszczony przez wojnę Strzelin, jest posiadaczem największych w całej Europie kamieniołomów granitu. Dalekie pohukiwania, które usłyszałem w ten jasny, lipcowy dzień, to były właśnie wybuchy ładunków dynamitowych, rozsadzających skałę.

Kamieniołom ten zaś wygląda jak gigantyczna niecka. Niesamowite złomisko głębokości 100 metrów, o dzikich, skalistych brzegach, wobec których ogromu człowiek czuje się znikomością. A jednak to właśnie człowiek poszarpał i wyszczerbił ten teren. Tę granitową epokę.

Któregoś dnia już pod jesień wybrałem się znów do Strzelina. Monumentalność i dzikość owych kamieniołomów, stromość kamiennych urwisk, podobnych do wielkich kanjonów rzek „Dzikiego Zachodu" znanych mi z filmów „kowbojskich", z opowieści Curwooda, Londona, ta właśnie monumentalność i dzikość i jakaś swoista egzotyka urzekła mnie wtedy, w lipcu. A teraz były pierwsze dni września i szare, niskie jabłonki kołyszące się nad drogami, wiodącymi ku miastu, nęciły dojrzewając owocem. Doszedłszy do celu mej drogi usiadłem na brzegu urwiska i wpatrywałem się w przepaść leżącą w dolę. Doznałem wówczas jakiegoś wyjątkowego uczucia, z którym porównać mogłem tylko to wstrząsające wrażenie, jakiemu uległem niegdyś, u stóp Nebelhornu w Alpach. Surowość, dzikość i moc.

Procesy geologoiczne, tektoniczne ciśnienia i wstrząsy, trące i miażdżące działania, oto czemu zawdzięcza Strzelin sens swego istnienia. Dziś czerpie się z tutejszego kamieniołomu wartościową „błękitną" kostkę, z której powstają filary odbudowujących się mostów, szosy, nawierzchni ulic. Podobno granit strzeliński tkwił w konstrukcji warszawskich mostów i w urządzeniach kamiennych stadionu olimpijskiego w Berlinie. Z takim przynajmniej twierdzeniem spotkałem się w literaturze niemieckiej. W każdym razie w dzisiejszej Polsce wydobywany stąd, przy zastosowaniu najnowszych metod eksploatacji surowiec, odgrywa poważną rolę i podnosi na wysoki poziom gospodarcze znaczenie Strzelina.

Bo poza tym... Mój Boże! Cóż pozostało z dawnej jego świetności piastowskiej. Na kamieniołomie co prawda nie kończy się przemysłowy Strzelin. Miasto ma własną cukrownię ... co znacznie ciekawsze — zamrażalnię owoców i jarzyn. Warszawiak spożywający w styczniu świeże jagody, nie domyśla się nawet, że ową gastronomiczną perwersję zawdzięcza małemu, zrujnowanemu miasteczku dolnośląskiemu, które w trudnym, zaciętym uporze wykuwało swą drogę do życia, a dziś już, wraz z całym krajem buduje zrąb socjalizmu.

Zrujnowany, spalony rynek, gruzowisko zburzonego ratusza, wiatr świszczący w ceglanych szczerbach... „O melancholio — nimfo!" Puste popołudnie nastraja refleksyjnie i wspomnieniowo. Zwłaszcza że Strzelin ma długą i urozmaiconą historię. Otóż na samym początku była tu neolityczna osada. Wioska nad brzegiem Oławy, której neolityczni mieszkańcy lepili naczynia z gliny, kłaniali sę swoim bóstwom, czcili swoich umarłych, za skóry, za ziemiopłody nabywali u kupców przybywających z Zachodu, od Longobardii, od Galii i Allemanii, metalowe zapinki — fibule, pierścienie i bransolety, noże, miecze i groty do strzał. Dopiero w XIII wieku powstaje gród kasztelański. Staje zamek grodowy, obronny, z którego klarysek, które sprowadził tutaj książę Bolko Świdnicki, zmiotła ostatnia wojna. Inaczej nie mogło być. Miasto zaminowane, bronione, włączone w system obronny jadnej z linii niemieckiego oporu musiało ulec zniszczeniu.

Ale są tu fantastyczne zakątki i nieoczekiwane fragmenty. Jakieś skwery, opustoszałe ogródki i grzędy dzikiej zieleni, wśród której bawią się dzieci. Małe, różowe dziewczynki wracające w południe ze szkoły, zbierają brunatne i lśniące, tylko co opadłe kasztany. Jeśli zaś z ulicy Oławskiej nie wyjść na szeroką arterię skręcającą w lewo, do rynku, lecz zawrócić troszeczkę wcześniej, w wąski przesmyk wzdłuż kamiennych ogrodzeń, małych sadków i warzywników, gdzie rezyduje ogrodnik, wówczac zastąpi nam drogę okrągła, kamienna wieża, jakby przeniesiona tu żywcem z ilustracji bajek dla dzieci „o smokach i o rycerzach. Kościół św. Gotarda. Najdziwaczniejsza budowla, jaką kiedykolwiek widziałem. Jest to zespół jakgdyby dwóch, bliźniaczych budynków, wzniesionych w całości z ciosu i zestawionych ze sobą. Obok tego zaś owa wieża o charakterze obronnym. Ostrołukowe okna, dwuspadowa stromizma dachów, wskazują na epokę gotyku. Nisko, u drzwi wejściowych kilka tablic grobowych z XVII i XVIII wieku. Wokół pustka, zdziczała zieleń opustoszałych ogródków. Na wiosnę, w soczystej trawie garściami można rwać fiołki.

Dlatego opowiadam tak długo o kościele św. Gotarda, bowiem dziwną ową budowlę, którą tradycja od wieków nazywała „polskim kościołem", otacza oddawna już atmosfera pewnej tajemniczości. Ta mała, ciosowa świątyńka zbudowana została pod koniec XIII stulecia, tuż koło baszty miejskiej, którą była dzisiejsza wieża. Stąd jej obronny charakter. Później do małej nawy dostawiono drugą, bliźniaczą. W epoce walk religijnych i reformacji odprawiali tu swoje praktyki t. zw. „Bracia Polscy". Może właśnie dlatego kościół św. Gotarda zwie się „polskim kościołem". Dziwny jest fragment miasta, przy kościele św. Gotarda. Tak jakby tutaj właśnie przystanęła historia i znieruchomiał czas. Miejsce to jest bliskie śródmieścia. Leży w sąsiedztwie rynku. Na linii murów miejskich średniowiecznego grodu, przez które dzisiejszy Strzelin wylał się bardzo daleko, a pomimo to jest tu pusto. Można godzinami całymi kontemplować ciosowy zrąb, marzyć w samotności, rozmyślać, mając pewność, że nikt nie nadejdzie. Tylko dzieci. Małe dziewczynki odkryły ową właściwość zielonego zakątka i w dni wolne od zajęć szkolnych przychodzą tu bawić się w trawie. Zwierzać sobie swe tajemnice.

* * *

Bardzo daleko odbiegłem od spraw szerszych, ogólniejszych, ważniejszych. Może dlatego głównie, że straszliwe zniszczenie śródmieścia nie sprzyja optymistycznym myślom. Wrażenie senności, martwoty, wywołane rzadkim zabudowaniem i znacznemu rozproszeniu budowli jest tutaj bardzo silne. Wydaje się, że mieszkańcy Strzelina żyją jakimś zwolnionym tempem. A jednak ci sami ludzie tchnęli życie w zamarłe po działaniach wojennych miasto. Jeśli zaś kto nasycony senną ciszą zakątka przy kościele św. Gotarda albo oszołomiony martwotą wypalonego rynku, zapragnie życia i ruchu, niech się zaopatrzy w przepustkę na teren kamieniołomów, lub przyjrzy się bodaj zdaleka pracy jego w zwyczajny, powszedni, roboczy dzień. Nastrój się natychmiast odmieni pod wrażeniem tej pracy, ruchu, niezmordowanego wysiłku. Tu pracują też ludzie strzelińscy, jak w cukrowni, jak w zamrażalni. Ci sami ludzie strzelińscy, którzy wskrzesili miasto, usuwając zeń zwały gruzu, uruchamiając zakłady użyteczności publicznej, wodociągi, światło, kanalizację. To oni wreszcie powołali do życia te olbrzymie kamieniołomy, zszywając porozdzieraną na strzępy sieć linii wyciągowych i wysokiego napięcia, uruchamiając krany, dźwigi, ładownie, naprawiając i instalując maszyny — zdemontowane, porozciągane po polach, poukrywane. Tych ludzi w 45-tym było dosłownie czterdziestu. Teraz jest ich blisko dziesięć tysięcy.

Tadeusz Zelenay

Jeszcze o Łużyczanach

Szczegółowe, z wielką starannością zebrane i opracowane, informacje naszego wybitnego znawcy zagadnień narodowościowych w Niemczech, Edmunda Osmańczyka o bratnim narodzie łużyckim, zamieszczone w „Odrze" z 27 lutego br., nasuwają kilka uwag uzupełniających, względnie pod niektórymi względami — prostujących. Uwagi te nie mogą oczywiście w niczym umniejszyć zasługi Osmańczyka, który dał nam w wym. artykule multum bardzo ważnych danych. Nie ma wszakże bodaj takiej encyklopedii w świecie, której daty czy cyfry byłyby na całej linii niepodważalne. Uwagi poniższe w każdym razie niech się przyczynią do jeszcze lepszej znajomości spraw łużyckich w Polsce.

I. Pierwsza uwaga dotyczy samej nazwy. Czy określenie „Serbo-Łużyczanie" jest trafne? Ma ono na celu niewątpliwie równoczesne uwzględnienie dwu faktów: że sami nasi ci pobratymcy nazywają się Serbami, a że my zwykliśmy od dawna nazywać ich Łużyczanami. Jakkolwiekby się słuszne wydawały te dwa względy, sądzimy, że mimo to nie ma powodu do zarzucania nazwy „Łużyczanie", w Polsce najlepiej znanej. Określenie „Serbo-Łużyczanin" brzmi niewątpliwie sztucznie, nazwa jest za długa i niewygodna w użyciu. Jeżeli przeciwko nazwie „Łużyczanie" wysuwa się argument, że nazwa ta mogłaby oznaczać również i niesłowiańskich mieszkańców Łużyc, przede wszystkim tamtejszych Niemców — argument ten jednak nie jest dostatecznie wymowny. Dziś nazwy tego rodzaju są zawsze jednoznaczne; dziś nikt słowem „Litwin" lub „Ukrainiec" nie będzie oznaczał Polaka z Litwy czy Ukrainy, chociaż nierzadko tak się mówiło przed kilkudziesięciu laty. Pod „Łużyczanin" będziemy zawsze rozumieć Słowianina mówiącego jednym z dwu języków łużyckich (serbskich), a w innym wypadku powiemy: „Niemiec z Łużyc", tak jak mówiło się „Niemiec czeski", czy nadal mówi się „Węgier słowacki" itp.

Natomiast wchodzi w grę inna możliwość: używania nazwy „Serb", „Serbowie". Tak nazywają siebie samych ci nasi pobratymcy. Zachodzi jedynie niedogodność — możliwość pomieszania z Serbami jugosłowiańskimi. Niedogodność tę odczuwają przede wszystkim sami Łużyczanie, którzy o sobie mówią „Serbja" (licz. mn. od Serb), a Serbów - Jugosłowian nazywają „Juzni Serbja" (Południowi Serbowie).

Rozwiązali tę trudność Czesi, którzy powoli zarzucają do niedawna najczęstszą u siebie w tym wypadku formę „Luzican" (l. mn. Luzicane) i piszą „Srb", „Srbové" — ale najczęściej dodają tu przymiotnik bliżej określający: „Luzicky Srb" (l. mn.: Luziczti Srbové). Nie ulega wątpliwości, że mające w Polsce już prawo obywatelstwa określenie identyczne: „Serbowie Łużyccy" winno być utrzymane — na równi z nazwą „Łużyczanie". Ta ostatnia jako najdawniejsza i najprostsza winna jednakże mieć pierwszeństwo. Formę „Serbo-Łużczanie" należy zaś raczej odrzucić. Niech się zresztą wypowie o tym istniejąca u nas „Naukowa Rada Łużycoznawcza", która bodaj zbyt małą rozwija aktywność.

II. Druga uwaga dotyczy również nazwy — ale już nie narodu, lecz kraju. Nie powinno się moim zdaniem mówić „Łużyce Górne" i „Łużyce Dolne", lecz należy używać w tych wypadkach liczby pojedynczej: „Łużyca Górna", „Łużyca Dolna", tak jak to czynią sami Łużyczanie: „Hornja Łużica", „Delnja Łużica". Nazwę „Łużyce" winniśmy rozumieć jako „dwie Łużyce", podczas gdy każdy z dwu wchodzących w grę krajów jest pojęciem jednostkowym i dlatego jedynie słuszne jest określenie w liczbie pojedynczej: „Górna (Dolna) Łużyca". Czesi także używają liczby pojedynczej dla każdego z dwu krajów Łużyckich: tj. mówią np. „Kamjenc v Horni Łuzici", lub „Lubin v Dolni Luzici".

III. O ile chodzi o obszar i podział administracyjny Łużyc w znaczeniu obszaru zaludnionego przez większość słowiańską, uważam, iż nie możemy tu mechanicznie przyjmować za podstawę niemieckiego podziału administracyjnego, albowiem kresowe części powiatów zaliczanych ze względów historycznych do Górnej i Dolnej Łużycy są już tak silnie zniemczone, iż sami Łużyczanie rezygnują z włączania odnośnych rejonów do swego terytorium narodowego.

Według powojennych wydawnictw łużyckich narodowy obszar łużycki nie obejmuje 8509 km kw., lecz tylko 6242 km kw. (zob. zbiór map pt. „Łużica". omawiany m. in. w „Życiu Słowiańskim" nr 4/1947, str. 150). Dla ciekawości dodamy, że Łużyczanie obliczają obszar ostatnio tak bardzo zgermanizowany, że już doń nie roszczą pretensji, na 2144 km², a obszar historycznie łużycki, znajdujący się dziś w granicach Polski, na wschód od Nysy — na 2842 km², z czego wynikałoby, że całość Łużyc historycznych mierzyłaby: 11.228 km² (zob. tamże).

Stosownie do tego, liczba powiatów wynosił o jeden mniej: nie 16, lecz 15, gdyż odpada jako najbardziej zniemczony pow. łukowski (Luckau). Powiaty górnołużyckie należą politycznie nie tylko do Saksonii, lecz trzy z nich, Wojerecy (Hoyerswerda) Nizka (Niesky) i Zhorjelc (Goerlitz. pols. Zgorzelec), zagarnięte przez Prusy w r. 1815, nadal są oddzielone od Saksonii i należą do Brandenburgii; ta ostatnia obejmuje oczywiście także powiaty dolnołużyckie.

IV. Niedokładnie określona jest w artykule red. Osmańczyka kwestia językowa: czytamy o „języku łużyckim". Wprawdzie istnieje nawet jedna polska naukowa rozprawa filologiczna, zawierająca w tytule takie określenie („Stanowisko języka łużyckiego" W. Taszyckiego z r. 1927), ale nie zmienia to faktu uznanego powszechnie, że istnieją w istocie *dwa* języki słowiańskie na obszarze Łużyc: górnołużycki w Łużycy Górnej i dolnołużycki w Łużycy Dolnej (zob.: Z. Stieber — „Krótka gramatka języka górnołużyckiego", Kraków 1938). Oba języki łużyckie, od siebie różniące się dość znacznie, są podobniejsze do polskiego niż do czeskiego, ale między górnołużyckim a czeskim istnieje parę punktów stycznych, wskutek wspólnego postępowania w dwu tych językach dźwięku *h* zamiast *g*, oraz *i* po *cz, sz,* i zamiast *y;* w dolnołużyckim jest jak w polskim.

V. „Maćica Serbska" to po prostu: „Macierz Łużycka"; o tej zasłużonej instytucji zob. artykuł T. S. Brabowskiego w „Życiu Słowiańskim" 1947, nr 12. — „Komitet" nazywa się po górnołużycku „Wubjerk", nie Wuberk, jak konsekwentnie piszą w wym. artykule; ma być: Słowjanski Wubjerk — Komitet Słowiański. Prezes tego Komitetu, radca szkolny prof. Michał Nawka jest zasłużonym polonofilem i działaczem słowiańskiego zbliżenia, nadto zaś cenionym prozaikiem; sekretarz, najlepszy łużycki plastyk, malarz Marcin Nowak-Njechorński, pozostaje również w ożywionych kontaktach z Polską (jest uczniem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych).

* * *

Tyle zatem drobnych uzupełnień i drobniejszych jeszcze sprostowań. Uwagi te podano w jednej tylko intencji: by wiadomości o bratnim narodzie łużyckim w przygotowywanym przez red. Osmańczyka „Leksykonie spraw niemieckich" — były prawdziwie jak najdokładniejsze.

Henryk Batowski

Po ogłoszeniu w nr 6 „Odry" fragmentu rozdziału „Mniejszości Narodowe w Niemczech Okupowanych" z przygotowywanego do druku „Leksykonu Spraw Niemieckich" otrzymałem z Łużyc szereg uwag, dotyczących określenia liczby ludności serbo-łużyckiej.

Uwaga 1: W pracy mej podałem najostrożniej obliczoną, minimalną cyfrę (143.700) ludności serbo-łużyckiej. Z kolei korespondenci moi przesłali mi inne obliczenie, określające maksymalną cyfrę Serbo-Łużyczan na 232.000. Obliczenie oparte jest na tych samych danych spisu Domowiny z 1945 r., na których i oparte było obliczenie ogłoszone w „Odrze", z tą jednak różnicą zasadniczą, że obecnie zakłada się, iż w miejscowościach, gdzie spisu nie robiono, żyje również 14% Łużyczan, a zatem:

w trzech powiatach budziszyńskim, kamieńskim i lubijskim jest ogółem	384.681 mieszkańców
odejmujemy liczbę ludności 6 miast powyżej 10.000 mieszkańców, to jest	102.423 „
	282.258 mieszkańców
i odejmujemy ludność niemiecką i łużycką objętą spisem Domowiny, tj.	63.458 „
otrzymujemy wówczas ludności mieszanej w 3 powiatach, nieujętej spisem Domowiny	218.800 mieszkańców

Zakładamy, że wśród tych 218.800 jest też 14 proc. Łużyczan, to jest 30.632. Ponieważ wśród ludności ujętej spisem (63.458) było 39.674 Łużyczan, możemy zatem twierdzić, że w trzech w. wym. powiatach (bez miast) żyje 70.206 Łużyczan. Tym samym zmienia się stosunek procentowy, bowiem liczba 70.206 Łużyczan w stosunku do 282.258 ogółu mieszkańców trzech powiatów stanowi nie 14 proc., lecz 24,88 proc. Jeśli założymy z kolei, że średni udział procentowy Łużyczan w trzech powiatach odpowiada procentowi i reszty powiatów, wówczas ostateczny rachunek przedstawia się następująco:

Ogółem ludność całych Łużyc (bez miast powyżej 10.000)			813.468
24,88% Łużyczan, to jest 202.390			
Ogółem ludności wszystkich miast powyżej 10.000			397.566
7,5% Łużyczan, tj. 29.818			
Ogółem Łużyczan	232.207	na	1.211.034 mieszkańców

Liczba ta jest przez autorów uważana słusznie za maksymalną i sądzę, że prawda leży w pośrodku między cyfrą 143.000 a 232.000. Średnia tych dwu liczb daje nam 1880.000, jako prawdopodobną liczbę. żyjących dziś w Niemczech okupowanych Serbo - Łużyczan. Możemy zatem ustalić następującą tabelę:

Liczba Łużyczan	w cyfrach	% w stos. do ogółu ludn.	% ludności	
			wiejskiej	miejskiej
minimalna	143.000	11,8%	14,0%	7,5%
maksymalna	232.000	19,1%	24,88%	7,5%
prawdopodobna	188 000	15,5%	19,4%	7,5%

Uwaga 2: Archiwum Domowiny przesłało mi łaskawie dane oficjalnych niemieckich spisów ludności, zebrane za lata 1832—1939 przez dr Jeszkiego. Sądzę, że warto je opublikować. Oto one:

rok	Saksonia	Prusy	całe Łużyce
1832	39 950	—	—
1843	—	90 670	—
1846	42 450	—	—
1849	47 580	92 430	140 010
1858	—	109 010	—
1861	50 610	82 260	132 870
1863	50 830	—	—
1864	49 230	—	—
1871	49 510	—	—
1875	47 420	—	—
1880	48 360	—	—
1885	49 960	—	—
1890	—	65 880	—
1900	44 030	62 440	106 470
1905	—	62 930	—
1910	40 470	62 330	102 800
1925	28 190	42 800	70 990
1933	25 830	31 340	57 170
1939	474	520	994

Miejsca oznaczone kreską oznaczają brak oficjalnych danych niemieckich. Liczba 994 Łużyczan wg. hitlerowskiego spisu ludności z 17. V. 1939 jest niezwykłym curiosum w dziejach oficjalnych statystyk.

Uwaga 3: Dr Jacob Jatzwauk (Wjacławk), zasłużony działacz Domowiny, badacz piśmiennictwa łużyckiego, który w r. 1929 wydał nieocenioną bibliografię łużycką za lata 1597—1929 pt. „Wendische (sorbische) Bibliographie", opracowuje obecnie tom drugi za lata 1929—1949. W tomie tym pragnąłby uwzględnić również najważniejsze polskie prace o Łużycach, ogłoszone w tych latach, bądź w formie książek, czy broszur, bądź w czasopismach. Jeśli któraś z naszych pracowni naukowych posiadałaby dane do tego rodzaju bibliografii, warto byłoby dopomóc dr. Wjacławkowi. Adres: **Maćica Serbska, Bautzen Sa. Tuchmacherstr. 27.**

Edmund Osmańczyk.

Akcja oświatowa Filmu Polskiego

Dział Filmów Oświatowych Przedsiębiorstwa Państwowego „Film Polski" prowadzi akcję oświatową, której celem jest uprzystępnienie przy pomocy filmu zarówno młodzieży szkolnej jak i szerokiemu ogółowi różnorodnych zagadnień z dziedziny nauki i wiedzy o świecie.

W tym celu Dział Filmów Oświatowych produkuje i rozpowszechnia krótkometrażowe filmy oświatowe, wyświetlane w szkołach, kinach oświatowych i objazdowych.

Film oświatowy stanowi dziś dla szkół najbardziej nowoczesną pomoc naukową. Dla szerokiego ogółu jest on cennym narzędziem oświaty, która dzięki niemu rozchodzi się po całym kraju, docierając za pośrednictwem kin objazdowych nawet do najbardziej zapadłych wsi i miasteczek.

W najbliższej przyszłości filmy produkowane przez Dział Filmów Oświatowych wejdą na ekrany wszystkich kin, jako dodatki oświatowe do filmów fabularnych.

Rozwijająca się wciąż produkcja Działu Filmów Oświatowych stwarza potrzebę gromadzenia scenariuszy filmowych na tematy, które mogłyby być wykorzystane zarówno dla szkół, jak i dla celów popularno-oświatowych.

Zwracamy się z apelem do czytelników mających kontakt z nauką aby posłali i nadsyłali nam scenariusze filmowe, względnie dostarczali tematów do scenariuszy. Tematy mogą być zaczerpnięte ze wszystkich dziedzin nauki sztuki, zagadnień kultury, a także z zakresu wiedzy o świecie i o Polsce współczesnej. Prosimy tylko o uprzednie uzgodnienie z nami obranych tematów.

Prace będą odpowiednio honorowane.

Po wszelkie informacje, dotyczące sposobów wykonania pracy, jak również w celu otrzymania scenariuszy wzorcowych prosimy zwracać się do Działu Filmów Oświatowych P. P. „Film Polski" (Wydział Programowy) w Łodzi, ul. Kilińskiego 210.

SŁAWOMIR FOLFASIŃSKI

Wspominamy Juliusza Słowackiego

we Wrocławiu

...Na pani Salomei Bécu usilne namowy, wreszcie wyrwawszy się z kraju, syn jej ukochany Juliusz, po raz pierwszy Anno Domini 1831 oparł się o Wrocław. Właściwie chciał jechać dalej, na Drezno miał weksel przysłany, ale władzom pruskim przybysz z Królestwa Polskiego niezbyt się spodobał, więc paszport oddać musiał i na nowy we Wrocławiu czekać mu kazano.

Samo miasto — jak pisał — dosyć naówczas było ładne... "*...niezmiernie stare, wszystkie domy do siebie podobne, tak, że dla kierowania się w tym mieście kompas bardzo by się przydał. Kilka ślicznych gotyckich kościołów, dwa place, z tych... drugi plac wielki jest to rynek, pośród którego stoi jeden z gotyckich kościołów a naokoło mnóstwo bud i szop ogromnych.*" Jak zwykle zresztą w czas jarmarku. Rzeczy wiele Słowacki z sobą nie miał, ot, mały tłumoczek, a w nim trochę bielizny i wierszy mnóstwo. „*Szkaradne wiersze, wagę tłumoka do 46 funtów podniosły.*" Przybywszy do Wrocławia były aplikant do kancelarii komisji Skarbu stanął pod „Złotą Gęsią", na drugim piętrze, w małym pokoiku. Rozgościwszy się w nim, w dni parę gród nadodrzański jako tako zwiedził, rodaków, tak jak i on przez władze pruskie przemocą zatrzymanych i dręczonych, podwiedzał. Ze wszystkich wszakże znajomków, z jednym tylko Kubusiem Gajem bliżej się zżył.

A kłopotów z uzyskaniem pozwolenia na dalszą drogę było co niemiara. Słowacki czuł się źle, nieswojo. Gdziekolwiek szedł, z kimkolwiek rozmawiał, uczuwał, że jest pod ścisłą obserwacją. Języka niemieckiego też dobrze nie znał, choć w rozmowach znajomość niemczyzny niezgorzej markował.

Nade wszystko wszakże pragnął otrzymać jak najszybciej pożądany paszport i jechać dalej. Zwłaszcza, że „Złota Gęś", mieszcząca się w starożytnej kamienicy o dachach wyższych niż trzypiętrowe ściany, taniością nie grzeszyła i każdy w niej dzień pobytu tyle kosztował, że ani się spostrzegł, kiedy wysupłać musiał trzydzieści talarów.

Rwał się przeto do odjazdu co sił, ale dzień płynął po dniu, a zezwolenia na wyjazd nie dostawał.

— Do Drezna — myślał — byle do Drezna.

Do Odyńca, do przyjaciół...

(Paryż 1832 ?)

Do
Wilhelma Bogumiła Korna
Wrocław
W. M. Dobrodzieju.

Znając od dawna rozległość i świetność stosunków księgarskich Wiel. P. Dobr. mam honor przesłać mu jeden egzemplarz poezji, wydanych niedawno w Paryżu, — z prośbą, abyś je chciał przejrzeć i donieść mi, azali nie zgodzisz się W. P. Dobr., abym mu pewną liczbę egzemplarzy przesłał...

...Pożądaną jest dla mnie rzeczą zezwolenie W. Pana Dobr., albowiem, zamierzając wkrótce nowe dzieło drukiem ogłosić, chciałbym, abyś mi dozwolił również znaczną część egzemplarzy pod takimi samymi warunkami Jego opiece poruczyć — a tak złożone blisko mego rodzinnego kraju, łatwiej się do niego dostaną. —"

Genewa 1833 r., luty 10, n. s.

...Mam teraz bardzo dobrego księgarza. Sławny Korn we Wrocławiu napisał do mnie list grzeczny, prosząc o 100 egzemplarzy moich poezji, i po ich odebraniu ma mi natychmiast wypłatę zaasygnować. Posłałem mu więc żądaną ilość i po wydaniu „Lambra" poszlę mu także za 200 egzemplarzy..."

Wasz
JULIUSZ

...Zamieszkał na Nowej Świdnickiej pod numerem 3, w niewielkim pokoiku na drugim piętrze. W półciemnej klatce schodowej dzwonek znajdował się na prawo od drzwi. Należało go nacisnąć i wówczas dopiero, gdy rozlegał się szczęk opuszczonego łańcucha, można było pytać o poetę. W kamienicy szukać go nie miało najmniejszego celu, nikt bowiem nazwiska jego nie znał i udzielić o nim konkretnych wiadomości nie mógł.

Pisać do niego trzeba było zrazu na poste-restante. Gdy wszakże oczekiwanych listów nie odbierał, prosił o kierowanie poczty na adres pana Stahlshmidta na ul. Kolejowej nr 5, a później à Madame Sophie Mielęcka, ul. Tauenziena nr 69...

...W kłopotach finansowych nie był. Pamiętał o nim i szczodrze wspomagał go „*gradem srebrnym*" Józef Komierowski, wszelkiej pomocy gotów był użyczyć mu Wojciech Stattler. Mimo wszystko wszakże od tarapatów poeta nie był wolny. Oto umarł niejaki Monsieur Loman, zamieszkały w Batignoles, przy ul. des Corrieres nr 7, któremu Słowacki zostawił w depozycie cały swój niewielki mająteczek, a mianowicie: 1) bilet kasy Liffitte 2) drugi bilet oraz 3) 30 akcji drogi żelaznej na okaziciela. Bilety de la Caisse Goin nie mogły zaginąć, ponieważ wystawiono je na nazwisko ich właściciela. Gdyby więc nawet groziło im wplątanie do likwidacji domu Loman, nie dałoby się zbyt łatwo spieniężyć, natomiast akcje liońskiej kolei żelaznej jako wystawione na okaziciela mogły zostać bez trudu sprzedane, co by naraziło Słowackiego na dość znaczne straty. Niepokoił się przeto losem swojego skromnego kapitaliku i listy do przyjaciół w Paryżu słał...

...Ale nade wszystko sen z oczu poecie spędzała troska: kiedy wreszcie przyjedzie matka?

Tyle lat nie widział jej, srebrnej Sally, do której tęsknił każdą godziną swego życia, którą pozdrawiał znad Sekwany, Tamizy Lemanu, z Otranto, Bejrutu, klasztoru Betcheszban, gdziekolwiek był, gdziekolwiek przystawał w uciążliwej, pielgrzymiej wędrówce poety bez ojczyzny...

— — — — — — — — — —

...Jeszcze jak żywe przed oczyma jego poznańskie rysowały się wspomnienia. Jeszcze jakby czuł to samo powietrze, którego woń dzieciństwo mu przypominała, i jakby widział tę samą, przed paru dniami opuszczoną, wieś, rozdzwonioną świątecznymi pieśniami, gościnną, przyjazną i tak bardzo a bardzo bliską jemu, całe życie obcymi pielgrzymującemu stronami. Jeszcze dokoływał myślą do szczeropolskiego domu Bukowieckich, gdzie przed paru dniami zażył nieznanej mu od osiemnastu lat błogości nocowania pod niebem ojczystym.

Ale już, ledwie debarkader kolei żelaznej opuścił, porwał go w swe władanie wielouliczny, nawłocią niemieczczyzny po wierzchu pokryty — Wrocław.

Była wiosna 1848 roku, pierwsze dni maja, ulice tonęły w słońcu, zwycięską zielenią wdzierały się w miasto pozornie kamienne, półkolami biegnące, zieleńce, gdzie lat temu przeszło trzydzieści napół zmurszałe wznosiły się fortyfikacje. Słowacki bardziej jak dawniej pogrążony w myślach i bodaj że większą niż zwykle co wiosnę gorączką trapiony, wychudły, podróżą umęczony, z dziwnym uczuciem wstępował w wrocławskie ulice.

Pamiętał bruki rozlicznych miast: zawsze kuszący, choć w rzeczy samej obcy i niewdzięczny dla politycznych emigrantów. Paryż, ogromny, a mimo wszystko jakże łatwy do poznania Londyn, kosztowną Genewę, tonący w mgłach, murów każdym załomem o przeszłości mówiący, Rzym, tysiącem świateł co noc jaskrawy Neapol, dalekie miasta południa: Grecji, Egiptu, Syrii, Palestyny...

Wspomnienia pierzchały: powracał, przed laty poznany, Wrocław. Ale już nie był przystankiem na drodze życia niecierpliwego dalszej podróży wojażera. Nic nie tamował, niczemu nie przeszkadzał, — był miastem „szlachetnym i republikańskim", bliskim granic dawno niewidzianego kraju, wyspą, skąd rękę wystarczyło wyciągnąć, aby sięgnąć do lądu, do Ojczyzny. Tylko stąd, znikąd indziej na świecie, było najbliżej do osiemnaście długich lat temu żegnanej matki...

Jeżeli niegdyś niepokój budził go co rana i słowa mu szeptał: jechać, jechać dalej jak najszybciej... to — teraz z lękiem kładł się do snu jednego pragnąc: — zostać, zostać jak najdłużej, matki, Sally najdroższej, doczekać się...

...Najdroższa Matko! Pomimo to, że lada dzień mogę być stąd wyprawiony, proszę cię jednak, jeżelibyś się na to odważyła, abyś wsiadła do dyliżansu i choćby na dni kilka tu przyjechała. Nie tak jest droga długa dla ciebie, a ponieważ masz paszport, więc ją możesz odbyć z wszelkim bezpieczeństwem. Widzieć się z tobą byłoby dla mnie wielkim szczęściem w tych czasach, w których mie wiele rzeczy boli i udręcza. Choćby więc na tydzień przyjedź, a ja cię będę czekał w dzień umówiony w drodze żelaznej i postaram się dla ciebie o mieszkanie...

...Najukochańsza Matko moja! Już nie wiem, jak pisać i gdzie pisać do ciebie. Widać, że cię listy moje nie dochodzą, choć różnymi drogami posłane. Odpowiedzi od ciebie doczekać się nie mogę...

...Proszę cię (to jest Teofilu) *i zaklinam, abyś chwili nie tracił, a Sally decydował... Spragniony jestem jej przybycie. Sumienie by mi bowiem wyrzucało, żem nie tentował wszystkiego, aby być u niej — ale wy nie wiecie, jak mi to trudno...*

...Najdroższa Matko moja!

Od miesiąca codziennie chodzę bezskutecznie na pocztę, pytając listu od ciebie, i zrozpaczony i coraz bardziej rozpaczający, że tej zapory, która jest między nami, złamać nie mogę... O, proszę, skończ to wszystko i utul mię w rękach twoich, wysiadająca z powozu... tu — jak najprędzej!"

...Wreszcie w drugiej połowie czerwca 1848 roku pani Salomea, ujrzała całe lata niewidzianego syna.

Szli wrocławskim debarkaderem, jechali ulicami miasta, patrzyli na wzajem w swe oczy i znów, po latach rozłąki, odnajdywali siebie.

Potem pani Salomea pojechała do kraju, do Ubienia, a w dni parę po jej odjeździe, 8 lipca 1848 roku, w sobotę, o godzinie piątej opuścił także Wrocław Słowacki, kierując się do Paryża.

Sławomir Folfasiński

ENCYKLOPEDIA ODRY

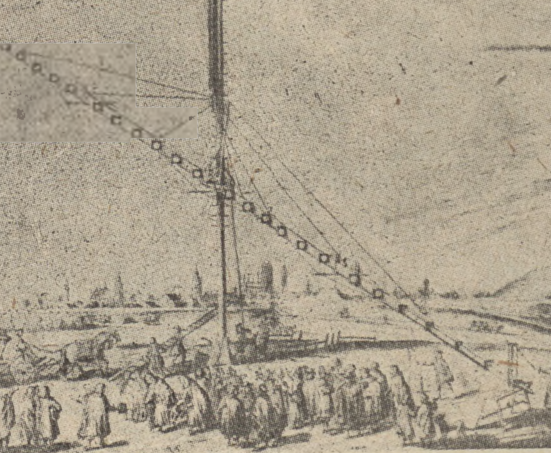

Od piwowara do astronoma

Historia życia Heweliusza jest jedną z tych, które dają świadectwo zbliżenia się świata gdańskich mieszczan ze światem polskim nie tylko w dziedzinie czysto handlowych stosunków, ale także na polu kulturalnym. Mówią o miłości i przywiązaniu do Polski i jej władców.

Ród Heweliusza pochodził z nad Łaby, choć w Gdańsku osiadły był już od dawna. Przodkowie naszego astronoma byli ludźmi obrotnymi i zapobiegliwymi, a bogacący się Gdańsk sprzyjał kupieckiemu i rzemieślniczemu zawodowi. Toteż już około 1550 roku kiedy w Gdańsku rozwinął się na dużą skalę eksport piwa 6 browarów spośród 280 jakie były w tym mieście należało do rodziny Havelków, Hevelków, Hafelcków, Häfelków czy jak kto woli Hofelków, gdyż różnie pisało się ich nazwisko.

Ojciec astronoma Abraham, zamożny gdański piwowar nie myślał o sławie naukowej syna, a tym bardziej nie życzył sobie aby Jan zajmował się astronomią i został „kalendermacherem".

Jako młodego chłopca wysyła do Gadecza pod Bydgoszczą aby nauczył się dobrze języka polskiego, którego umiejętność była konieczną w ożywionych stosunkach handlowych polsko - dańskich. Wraca stamtąd Jan mając lat 16 i wstępuje do Gdańskiego Akademickiego Gimnazjum gdzie słucha wykładów teologii, matefizyki, polityki, greki i łacińskich klasyków. Tu w gdańskim gimnazjum zainteresował się zdolnym młodzieńcem profesor Piotr Krüger, który udzielał mu poza wykładami szkolnymi także prywatnych lekcji. Piotr Krüger zachęca go do studiów astronomicznych i Heweliusz pod jego kierunkiem uczy się poza teorią i obserwacjami nieba, budowy astronomicznych przyrządów miedziorytnictwa i szlifowania soczewek.

Za namową rodziców, którzy pragną syna skierować ku bardziej intratnym zawodom wyjeżdża Heweliusz w r. 1630 jako dziewiętnastoletni młodzieniec do Lejdy na studia prawnicze. Nie długo jednak tam zabawił. Już po roku opuszcza uniwersytet, wyjeżdża do Anglii, Francji odwiedza Włochy aby po dwuletnim pobycie zagranicą, podczas którego zapoznał się z wybitnymi przedstawicielami nauki wrócić przez Szwajcarię i Niemcy do Gdańska.

Tu żeni się z Katarzyną Rebeszko córką bogatego gdańskiego kupca a przyjęty do cechu browarników poświęca się zawodowi piwowara.

I możeby porzucił swe astronomiczne zainteresowania Heweliusz gdyby nie Piotr Krüger. Oto umierający profesor zachęca go do kontynuowania studiów, uzyskując przyrzeczenie że Heweliusz zaobserwowuje mające w krótkim czasie mieć miejsce zaćmienie słońca. Jan wypełnia przyrzeczenie i od tej chwili opanowany żądzą poznania maszynerii nieba całą resztę życia poświęci astronomicznym badaniom i obserwacjom.

Z wielkim nakładem pracy i pieniędzy buduje sam teleskopy, przyrządy miernicze cały szereg niezbędnych instrumentów aż wreszcie w roku 1641 kończy swe obserwatorium. Obserwatorium to zbudowane na dachach jego trzech sąsiadujących domów, zaopatrzone w teleskopy (z których największy posiadał długość 48 metrów i dla swej wielkości montowany był za miastem nazywa za przykładem Tycho de Brache'a „Stellaeburgum").

Obiektem zainteresowania Heweliusza staje się w pierwszym rzędzie księżyc. Po żmudnych obserwacjach ukazuje się jego znakomite na ówczesne czasy dzieło „**Selenographia**" wraz z mapą księżyca i dokładnym opisem. Następnym tematem badań są plamy słoneczne. Nie ogranicza się przy tym Heweliusz do zaobserwowania ich i opisania, ale wysnuwa własną swą teorię o pochodzeniu słonecznych plam, podobnie jak wysnuje swą własną teorię na temat powstawania komet które jego zdaniem są zbiorowiskiem wyziewów różnych planet.

Pracami swymi wzbudza szczere zainteresowanie nie tylko wśród gdańszczan, którzy początkowo wybierają go ławnikiem, potem konsulem, nie tylko u uczonych zachodu z którymi prowadzi ożywioną korespondencję a przede wszystkim u królów Polskich. Na chwałę Władysława IV, pięć przez siebie odkrytych księżyców Jowisza nazwie Heweliusz Stellae-Vladislavianae (odkryje je w cztery miesiące później pater Antoni Maria z Rheity i nazwie Stellae-Urbanae, na cześć papieża), a jak się dowiadujemy z listu Piotra des Noyers, posłał kiedyś królowi „instrument za pomocą którego można było wiedzieć to co się za murami na dole dzieje". (Polemoskop).

W 1660 roku król Jan Kazimierz ze swą małżonką odwiedzili po powrocie z Oliwy Heweliusza i jak podają źródła król przebywał w jego domu długi czas oglądając piękne astronomiczne przyrządy dokładniejsze i lepsze niż Tycho de Brache'a. Ponieważ niebo było zachmurzone, nie mógł król skorzystać z Heweliuszowego teleskopu złożonego z 7 szkieł a bardzo grubego. Astronom przeprowadził króla przez wiele gabinetów z przyrządami, a królowa w tym czasie została wraz z damami w jednym z pokojów gdzie były inne godne podziwu rzeczy, bowiem tamte już uprzednio widziała. Podczas królewskiej wizyty Heweliusz obdarzył króla wynalezionym przez siebie zegarem wahadłowym (za właściwego wynalazcę zegara wahadłowego uchodzi Huyghens, który nieco wcześniej opublikował wynalazek).

Największym jednak łaskawcą gdańskiego astronoma był Jan III Sobieski. Król ten żywo interesuje się pracami gdańskiego astronoma, odwiedza go w jego obserwatorium w r. 1667 wraz z królową i całym dworem i w tymże roku wyznacza Heweliuszowi stałą roczną pensję w wysokości 1.000 złp., ponadto uwalniając naszego piwowara-astronoma od wszelkich podatków i opłat z tytułu wyrobu i sprzedaży piwa zarówno w samym mieście jak poza miastem.

Heweliusz przeżywa teraz okres swego największego powodzenia życiowego. Królewskie Towarzystwo Naukowe przyjmuje go za swego członka, Ludwik XIV za pośrednictwem Colberta przesyła mu pieniężne dary.

Najznakomitsi uczeni świata wyrażają się z podziwem i uznaniem o pracach gdańszczanina. Interesuje się nim Karol II angielski, Krystian V duński, biskup Johannes z Lubeki, wielki książę Ferdynand z Toscany a elektor Fryderyk Wilhelm Brandenburski i królowa Krystyna szwedzka zapraszają go na swe dwory. Ale Heweliusz odrzuca te propozycje.

Pracuje dalej w ciszy swego obserwatorium ze swą młodziutką drugą żoną Elżbietą córką gdańskiego piwowara, którą uwiecznił dwukrotnie w miedziorytach zamieszczonych w swych dziełach i która w obserwacjach astronomicznych była mu nie małą pomocą.

Jeszcze poprzednio drukuje **„Prodromus cometicus"**, **„Cometographia"** część pierwszą **„Machina coelestis"**, a w roku 1679 kończy drugą część **„Machina coelestis"** dedykując ją Sobieskiemu. W tym czasie wygrywa spór naukowy z Hooke, angielskim astronomem, który zarzucił Heweliuszowi niedokładność pomiarów i zaatakował wartość naukową jego pracy.

Nadchodzi fatalny dla astronoma moment kiedy to w sierpniu 1679 roku podłożony ręką złośliwego sługi, ogień trawi trzy domy astronomom wraz z obserwatorium, wszelkimi instrumentami, korespondencją, książkami i dobytkiem. Cały plon 40-letniej pracy naukowej leży w gruzach.

Nie opuścił go w biedzie Sobieski, poparli ojcowie miasta, przysłał dar pieniężny Ludwik XIV. Nie załamał się Heweliusz. I przed końcem 1680 roku zaczął astronom swoją pracę w nowowybudowanym obserwatorium dalej obserwował niebo dalej dokonywał pomiarów i odkryć gwiazd z których tworzył nowe konstelacje lub przydzielał do już istniejących. Jedna z konstelacyj składająca się z 7 gwiazd, tak jak rodzina króla Sobieskiego składała się z 7 członków nazwał na cześć i chwałę króla **„Scutum Sobiescianum"** — „tarczą Sobieskiego", którą jak sam pisze przeniósł na „wieczną pamiątkę Najczcigodniejszego Naszego Króla i Pana Jana III Króla Polskiego..."

Dwunastotygodniowa choroba w roku 1687 kładzie kres życia Jana Heweliusza. Zmarł w południe w dniu swoich urodzin, przeżywszy równo lat 76.

Niedługo trwała sława Heweliusza. Bowiem jeszcze za jego życia i wkrótce po śmierci, na skutek ulepszenia teleskopu zaznaczył się olbrzymi postęp w dokładności astronomicznych pomiarów.

Dopiero w r. 1787 Gdańsk niezwykle uroczyście obchodził setną **rocznicę śmierci astronoma.**

Król Stanisław Poniatowski umieścił popiersie Heweliusza w sali sławnych Polaków na Zamku Warszawskim oraz przesłał Gdańskowi w darze w r. 1790 bronzowy odlew popiersia.

Janusz Skoszkiewicz

STANISŁAW BROSZKIEWICZ

Huta „Bolesław Chrobry"

Huta hucie nierówna, wiadomo —
tak jak człowiekowi człowiek.
Huta, to huta powiesz,
a to nie, a to inaczej,
to jakość stali normy...

Przyjechali towarzysze z Warszawy
zobaczyć nową baterię
30 pieców, ho, ho!
Kto ją zrobił? Jan, Andrzej i Paweł,
no i ja i tamtych dziesiątki.
Powiedzieli, że najlepiej,
bujda!
jest dobrze, a lepiej być może —
bo nierówna hucie jest huta,
tak jak człowiekowi człowiek...

Komasujemy produkcję: 1/3
tego, co całe DZPW
toż można by deklinować „Nasza Huta" i „Naszej Huty"
a nam zwierają się mięśnie, bo pomyślcie —
Nowa bateria pali czerwono,
i łuny są czerwone.
Czerwone są twarze sparzone mordęgą,
czerwony jest płonący koks,
czerwona jest krew
i nabrzmiałe nią mięśnie...

— potęgujemy produkcję:
dzieci pasą się mlekiem,
teatry parskają seledynem,
rośnie, nabrzmiewa czerwone szczęście
właśnie: u nas!

Huta hucie nierówna
o to rozchodzi się głównie,
ale w każdej hucie
wszyscy równi...

Patrzcie: dziś nikt już nie ślepnie
od białego żaru płynnej, strzelającej stali —
ręka na dźwigni krzepnie,
choć dźwignia pali.......

ale wiecie co? Ból u nas, to zwarcie w szczękach
bo wiecie co?
Odlewamy słupy żelazne,
które zatkniemy w dno Odry
na zawsze, na „za cholerę nie ruszysz",
odlewamy słupy graniczne
Załoga huty
„Bolesław Chrobry".

Książka o śląskiej Wiośnie Ludów

Kazimierz Popiołek: Polska Wiosna Ludów na Górnym Śląsku.

Poznań — Wrocław, 1948 r.

Wielki zryw wolności, jaki ogarnął w roku 1848 całą Polskę, był w dziejach nie tylko pięknym, bohaterskim epizodem, tematem natchnień i uniesień, ale miał głębokie, realne podłoże natury ekonomiczno-społecznej i jako taki wymaga specjalnych badań.

Dzieje 48 roku na Górnym Śląsku mają bardzo ubogą literaturę, toteż historycy z uznaniem powitali akcję Instytutu Śląskiego, który w stuletnią rocznicę „Wiosny Ludów" podjął inicjatywę zebrania materiałów do jej dziejów na naszym terenie. Wieloosobowy zespół pracowników naukowych przeprowadził badania, a wynikiem ich będzie źródłowe wydawnictwo. Źródła zebrane to dopiero pierwszy etap pracy, dalsze — to ich opracowanie, podejmą się go historycy w oparciu o zebrane materiały, rejestrujące sucho fakty czy osądy współczesnych, z których trzeba będzie dopiero wypracować obraz dziejów 48 roku na Górnym Śląsku.

Pierwszy sięgnął do zebranych materiałów dr Kazimierz Popiołek, a jego ciekawa rozprawa pod tytułem „Polska Wiosna Ludów na Górnym Śląsku" jest — w oparciu o wyniki pracy zespołowej zbieraczy materiałów — owocem poszukiwań, wnikliwych dociekań i badań samego autora.

W sześciu rozdziałach swej rozprawy stara się autor zwrócić uwagę na najważniejsze zagadnienia ówczesnego życia na Śląsku, jego stosunków społecznych, gospodarczych, narodowych, na których podłożu rozwinęły się wydarzenia 48 roku. Zaczyna od ponurego obrazu niedoli ludności wieśniaczej i robotniczej, pognębionej w dużej mierze przez nieznajomość urzędowego języka niemieckiego. Śląski chłop i robotnik, mówiący tylko po polsku, nie mógł się bronić przeciw bezprawiu ani dochodzić swych praw u władz uznających tylko język niemiecki. Chłopi na Śląsku do połowy XIX wieku pozostawali w zależności pańszczyźnianej od dominium, a ci których objął edykt regulacyjny drogo opłacili swe uwłaszczenie i zwolnienie od ciężarów pańszczyźnianych, odstępując nie tylko część swych gruntów ale składając jeszcze panom wysokie opłaty.

Nie mniej trudne były warunki robotników, marnie opłacanych, nie mających żadnego zabezpieczenia na wypadek choroby, starości, czy utraty pracy. Byli oni całkowicie uzależnieni od właścicieli i dyrektorów przedsiębiorstw. W przededniu Wiosny Ludów nędzę ludności na Górnym Śląsku spotęgowały klęski elementarne, jakie spadły na kraj: nieurodzaj, oraz wynikłe zeń głód i zaraza ogarnęły Śląsk, a szczególnie południową jego część. Opisane powyżej warunki były same w sobie zarzewiem rewolucji, toteż na pierwszą wieść o wybuchu rewolucji w państwie pruskim chłopi śląscy nie tylko zaczęli stawiać żądania, z którymi zwracali się do króla i rządu, ale wręcz odmawiali świadczeń na rzecz panów, a nawet zdarzały się napady na dwory i miasta, usuwanie znienawidzonych sołtysów i urzędników sądowych.

Inaczej kształtowały się ruchy rewolucyjne wśród górników i hutników. Tutaj głównym motorem poczynań było bezrobocie. Potentaci przemysłowi, idąc po linii najmniejszego oporu, redukowali ilość dni pracy i zarobki oraz zwalniali ogromne rzesze pracowników. Zaburzenia ogarnęły cały Śląsk Górny, za wyjątkiem powiatów: pszczyńskiego i częściowo rybnickiego, które tak były znękane głodem i niewygasłą zarazą, że nie miały siły na jakikolwiek odruch w kierunku zaakcentowania swej postawy wobec zaszłych wydarzeń „Wiosny Ludów".

Rząd usiłował opanować sytuację przez utworzenie specjalnych organów bezpieczeństwa, w poważniejszych zaburzeniach kierował dla uspokojenia ludności wojsko. Stosowano także masowe aresztowania, starano się odezwami nawoływać ludność do spokoju, obiecując jej poprawę warunków bytu, uregulowanie sporów pomiędzy wsią a dworem.

Wszystkie te zabiegi rządu nie wiele by osiągnęły, gdyby nie ogłoszenie wyborów do Zgromadzenia Narodowego. Lud śląski uznał, że to jest właściwa droga do osiągnięcia postulatów, do uwolnienia się od krzywdzącej przemocy panów.

Same jednak już prawybory (wybór elektorów wybierających posłów do Zgromadzenia Narodowego) nie przeszły spokojnie. Lud zaburzeniami reagował na oszustwa, jakich dopuszczano się na jego niekorzyść. W rezultacie wyszli z wyborów w przeważnej liczbie elektorzy, będący mężami zaufania ludu. Wybory odbyły się na ogół spokojnie, a w wyniku ich posłami Śląska zostali przeważnie chłopi i księża. Słusznie podniósł tu autor jako rzecz charakterystyczną, że w wyborach tych wziął przewagę element podziału stanowego i narodowego ponad elementem politycznym, jaki zwykle dominuje w rozgrywkach wyborczych.

Posłowie śląscy to przeważnie chłopi, jeżeli idzie o przynależność stanową i tę przyjmuje autor za kryterium do ustalania narodowości posłów śląskich, którą opiera także na polskim przeważnie brzmieniu nazwisk oraz imion.

Rozdział czwarty swej pracy, zatytułowany „W Berlinie i Frankfurcie", poświęcił autor dziejom działalności posłów śląskich na terenie Zgromadzenia Narodowego. Udział ich nie mógł być zbyt duży z powodu nieznajomości języka, niemniej jednak jako grupa przyłączyli się do lewicy i wywierali pewien wpływ na tok obrad, głosując za całym szeregiem reform społeczno-gospodarczych. Przedkładali też oni Zgromadzeniu Narodowemu szereg petycji w imieniu swych wyborców.

Specjalną i ważną rolę odegrał w Zgromadzeniu Narodowym w Berlinie poseł górnośląski ks. Szafranek, walczący o poprawę bytu górników i hutników górnośląskich, o zniesienie ciężarów ludności wieśniaczej wynikłej z feudalnych praw panów wielkiej własności. Podjął też ks. Szafranek walkę w obronie praw języka polskiego na Śląsku, którą prowadzą dalej inni działacze śląscy pracujący nad związaniem duchowym ludu śląskiego z polską Macierzą.

Wspomina też autor o jedynym pośle Polaku na Zgromadzenie frankfurckie Krystianie Minkusie, którego nazywa „radykalnym trybunem ludu, nieubłaganym wrogiem szlachty".

Ludność żywo interesowała się obradami Zgromadzenia Narodowego, pokładając w nim wielkie nadzieje. Prasa, ulotki, sprawozdania posłów listowne czy też ustne — były żywo dyskutowane na zgromadzeniach chłopskich. Drogą licznych petycyj, składanych przez posłów, starano się wpływać na tok obrad i przypominać swoje sprawy czynnikom rządowym. Liczne delegacje chłopskie udawały się do Berlina, aby osobiście przedłożyć władzom swoje dezyderaty.

Echa obrad Zgromadzenia Narodowego odzywały się też w życiu społecznym i gospodarczym. Chłopi nie chcieli wrócić do pełnienia swych świadczeń na rzecz dworu i nie pomagały tu żadne zarządzenia władz, a nawet zaczęły się powtarzać poważne zaburzenia i ekscesy ludności, tak że tłumiono je nieraz dopiero przy pomocy wojska.

Rząd i król rozumiejąc, że najlepszą drogą do uspokojenia włościan jest spełnienie choćby częściowe ich postulatów, wydają zarządzenie o zwolnieniu włościan od ciężarów na rzecz dominiów drogą wykupna. Proces przemiany struktury gospodarczej wsi pochłonął niemal bez reszty umysły ludu wiejskiego, tak że uspokoiła się wieś śląska i straciła swoje polityczne zainteresowania, czego jaskrawym wynikiem był fakt, że w następnych wyborach dwaj byli tylko posłowie Polacy: ks. Szafranek i Gorzołka. Zdaniem naszym powodem tego mogła być też wzmożona akcja ze strony Niemców, którzy po poprzedniej porażce lepiej przygotowali się do wyborów.

Ostatni rozdział swej pracy poświęcił autor zagadnieniu charakteru narodowego rewolucji 48 roku na Górnym Śląsku. Głównym wyrazem dążności narodowościowych była walka o język polski i jego prawa. Na arenie politycznej zainicjował ją znany wiec bytomski w dniu 13 czerwca 1848, którego echem był wniosek ks. Szafranka zgłoszony 21 lipca tegoż roku na Zgromadzeniu Narodowym w Berlinie. Dzieje zmagań o polskość ziemi śląskiej, ich przewódcy, przewijają się żywo przed naszymi oczyma w książce dra Popiołka. Ks. Szafranek, Emanuel Smółka organizują ruch narodowy w ośrodku bytomskim, stwarzając szereg organizacyj polskich szerzących oświatę wśród Ślązaków. Mierowski, Łepkowski i Lompa wydają „Dziennik Górnośląski", który szerzył nie tylko słowo polskie, ale i wiedzę o Polsce, o jej odwiecznych związkach ze Śląskiem. „Dziennik" jest też najlepszym źródłem badań nad ruchem narodowościowym, pisze o jego blaskach i cieniach, chwyta na gorąco wydarzenia, które wbrew sądom historyków niemieckich dają świadectwo o polskich tendencjach narodowych ludu górnośląskiego w dobie „Wiosny Ludów". Od nich zacznie się proces uświadamiania wspólnoty narodowej z Polską, który doprowadzi w naszych czasach do trwałego zespolenia całego Śląska z Macierzą.

Autor — rzecz prosta — nie wyczerpał w swej pracy całokształtu zagadnienia: rzucił jego szkic oparty o zebrane materiały, wysuwając na plan pierwszy pomijane w dotychczasowej literaturze podłoże ekonomiczno-socjalne ruchu, który zdaniem autora jest głównym i podstawowym momentem, podczas gdy procesy narodowościowe są procesem drugoplanowym, zaledwie kiełkującym w duszach ludu śląskiego w dobie „Wiosny Ludów". Od pełnego uświadomienia narodowego na Śląsku dzieli ją jeszcze długi okres rozwoju polskiej idei narodowej, zapoczątkowany walką o prawa języka polskiego.

Praca dra Kazimierza Popiołka jest cenną pozycją w historiografii „Wiosny Ludów".

Oby śladem autora poszli inni i w oparciu o zebrane materiały podjęli szczegółowe badania, pozwalające nam dokładnie poznać dzieje „Wiosny Ludów" na Górnym Śląsku.

Janina Berger-Mayerowa

Wydawnictwo Związku Zawodowego Literatów Polskich

Oddział w Katowicach

»ARKUSZ ŚLĄSKI«

1. Jan Baranowicz: Wiersze
1. Aleksander Widera: Wiersze
3. Aleksander Baumgardten: Wiersze
4. Edmund Osmańczyk: Hans Schneider
5. Władysława Szkaradkówna: Wiersze
6. Zdzisław Hierowski: Odbudowa kulturalna Ziem Odzyskanych
7. Wilhelm Szewczyk: Wiersze
8. Wojciech Żukrowski: Wiersze
9. Janina Zabierzewska: Wiersze
10. Jan Pierzchała: Wiersze
11. Józef Prutkowski: Wiersze
12. Stanisław Piastowicz: Wiersze.

Zbiór „Arkuszy Śląskich" stanowi doskonałą antologię literatury śląskiej.

Do nabycia w lokalu Śląskiego Oddziału ZZLP. w Katowicach ul. 3 Maja 36a

---

Krótkie spięcia

Jeszcze w stronę Prusa...

Poruszona została niedawno na tym miejscu sprawa niezwykłego daru rozwiązywania zagadek przyszłości u Bolesława Prusa, który tak genialnie potrafił w swych pismach drogą logicznej dedukcji przewidzieć mające nadejść zmiany polityczne i społeczne w świecie, w okresie, kiedy o tym jeszcze nikomu się nie śniło. Temat ciekawy i warto do niego jeszcze raz powrócić, chociaż powrócić, że się tak wyrazimy, nieco z innej beczki. Mianowicie chodzi o to, że Prus był nie tylko „przewidywaczem" z dziedziny spraw socjalnych, politycznych i ekonomicznych, ale również i technicznych.

W r. 1884 Europa niesłychanie przejęła się sensacyjną wiadomością, że dwom oficerom francuskim, Krebsowi i Renardowi, udało się wynaleźć sposób kierowania balonami. Jak wiadomo, balony istniały już przeszło sto lat, ale ich wielkim mankamentem było to, że nie dało się nimi sterować. Cóż, balony unosiły się w powietrze, ale leciały nie tam, gdzie chcieli odważni (i to jak jeszcze odważni!) aeronauci, tylko tam, gdzie chciał wiatr. Toteż wynalazek (zresztą niezbyt udany) francuski narobił w ówczesnym świecie wiele hałasu. Ale Prus, „przewidywacz", zaopatrzył w jednej z ówczesnych swoich „Kronik" ową sensację w następujący a genialny komentarz:

„Na pierwszą też wiadomość o wynalazku pp. Krebsa i Renarda dzienniki krzyknęły, że ludzkość oczekują wielkie zmiany.

Może i nie tak wielkie.

Przede wszystkim szukać sposobu kierowania balonami jest to od razu stawiać zadanie wbrew naturze. Balon jest lżejszy od powietrza, tymczasem ptaki i owady, które posiadają zdolność latania i kierowania się w powietrzu, są od niego cięższe.

Pod tym względem natura daje nie tylko wskazówkę: jaką ma być przyszła machina latająca, ale nawet uczy: jaką być nie powinna. Wynalazcą balonów, tj. machin lżejszych od powietrza nie jest bynajmniej Montgolfier ani Charles, ale — mały pająk, który przędzie nici babiego lata i za pomocą nich bawi się w powietrzną żeglugę. Nici te pływają w atmosferze, tak właśnie jak nasze balony i — właśnie dlatego idą nie tam, gdzie chce pająk, ale tam, gdzie je wiatr unosi.

Zdaje się więc, że i ludzkość niedaleko zajedzie z „balonem", lecz musi postarać się o ciężką machinę latającą..."

Prus zatem przewidział na wiele lat przed wynalezieniem samolotu, że tylko on, to znaczy maszyna cięższa od powietrza, to powietrze opanuje. Ale międzynarodowi wynalazcy byli uparci i głosu Prusa rzecz prosta nie słuchali. Balonami ciągle się zajmowali i próbowali nawet przy ich pomocy zdobywać Biegun Północny (wyprawa Andrée'go w r. 1893), co było już naprawdę szczytem lekkomyślności, chociaż też i szaleńczej odwagi, aż dopiero po wielu, wielu daremnych próbach i eksperymentach, przyszli po rozum do głowy i znaleźli wyjście z sytuacji tam, gdzie je wskazywał, ot tak sobie mimochodem, w zwyczajnym felietonie — polski pisarz i głęboki myśliciel.

Przyjemnie jest to dzisiaj skonstatować.

Niejaki X.

W najbliższych numerach ukażą się m. in. artykuły i prace:

Jana Koprowskiego,
Bronisława Kretowicza,
Stanisława Telegi,
Krystyny Wryczan
i innych.

Kronika ilustrowana

Teatr w Bielsku i Cieszynie

„Tu mówi Tajmyr" Galicza i Isajewa w Państwowym Teatrze Polskim w Bielsku i Cieszynie. Od lewej Klimczak, Nowak, Marzecki, Kassowski

Wystawa w Katowicach

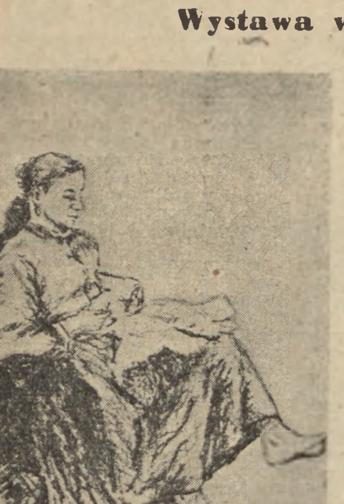

Jerzy Makosz: Studium

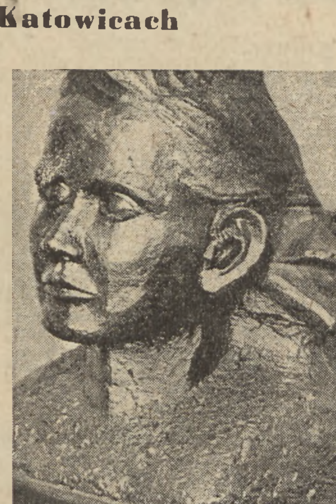

Piotr Latoska: Głowa córki

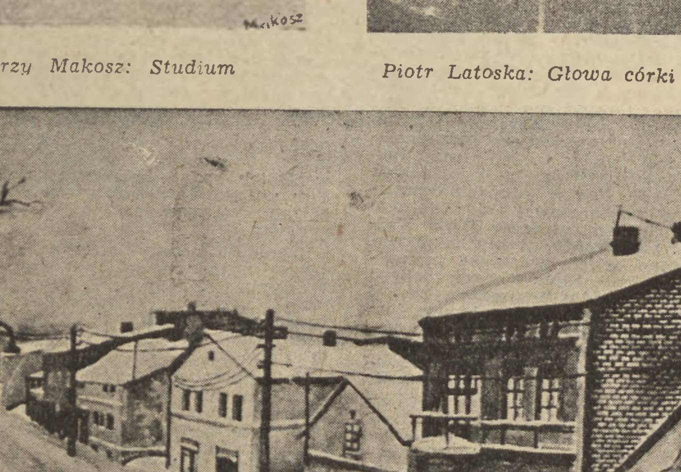

Marian Staliga: Ulica

Komedia rybałtowska

bez rybałtowskiego teatru

Państwowe Teatry Śląskie. Premiera na scenie sosnowieckiej: PRZYGODY ALBERTUSA, polska komedia rybałtowska, adaptacja i reżyseria Wandy Wróblewskiej.

1.

W komediach rybałtowskich znajdujemy najpełniejszy obraz literatury sowizdrzalskiej, która zaciekawia nie tylko jako fragment naszego piśmiennictwa z okresu baroku, ale także jako jeden z przejawów walki między myślą postępową a obskurantyzmem i wstecznictwem, panoszącym się w Polsce klerykalno - szlacheckiej.

Charakterystyczne też są okoliczności i warunki, w jakich nastąpił rozkwit i upadek literatury sowizdrzalskiej.

Rozkwit jej przypada na koniec XVI i początek XVII w., okres, w którym nastąpiła monopolizacja nauczania w ręku duchowieństwa zakonnego. Wtedy to literatura sowizdrzalskich, reprezentująca literaturę mieszczańsko - ludową, zyskała w odsuniętych od wpływu na kierunek rozwoju oświaty i pozbawionych możliwości zarobkowych bakałarzach świeckich — inteligentnych, dowcipnych i obeznanych z piórem twórców.

Realizm, znaczna zawartość satyry społecznej i politycznej oraz dostępność zdobywały dla literatury sowizdrzalskiej wzrastającą popularność wśród niższych warstw.

Jednak antyklerykalność tej literatury spowodowała wystąpienie do walki z nią kościoła, który w obawie o autorytet kleru i swoje wpływy, rozpoczął tak energiczną kampanię przeciw literaturze sowizdrzalskiej, że już w pierwszej połowie XVII w. rozpoczął się jej zanik.

Nie wyolbszymiając znaczenia tej literatury w historii polskiej myśli postępowej, nie należy jednak zapominać o jej pozytywnych wartościach dla rozwoju, kształtowania i rozpowszechniania tej myśli.

Należy też pamiętać, że najbardziej charakterystyczne utwory sowizdrzalskie, jakimi były komedie rybałtowskie, przyczyniały się do rozwoju teatru ludowego.

Z tych względów w świetle przypomnianych wyżej okoliczności należy się uznanie dla pożytecznej myśli pokazania nam komedii rybałtowskiej.

*

Uwaga na marginesie: Nie przeceniając wartości powyższego pobieżnego komentarza, potrzebnego tu jako pewne wprowadzenie do omówienia „Przygód Albertusa" — wydaje się, że raczej tego rodzaju komentarz byłby bardziej pożądany przez przeciętnego widza (i bardziej dla niego pożyteczny), aniżeli encyklopedyczny ekstrakt, zamieszczony w skądinąd dobrze redagowanych i dołączanych do programu „Wieczorach Teatralnych", gdzie na dwu bitych stronicach czytamy o „giętkiej linii w architekturze", o „dramatycznej monodii i basso continuo w muzyce", o „akrostychach i rymach zafałszowanych" itd. itd. i wreszcie... jedno jedyne zdanie (końcowe) o komedii rybałtowskiej, że „mieści się ona w ramach teatru ludowego".

2.

Zamierzając wystawić dzisiaj komedię rybałtowską, należało pamiętać o dwu zasadniczych warunkach:

1) O wyborze takiej komedii, która by skupiała w sobie jak najwięcej cech charakterystycznych dla scenicznej formy literatury sowizdrzalskiej i to zarówno pod względem treściwym jak i formalnym.

2) O takiej koncepcji inscenizacyjnej i reżyserskiej, która by kierowała się zasadą uwypuklenia charakterystycznych cech komedii rybałtowskiej i to drogą ukazania nie tylko jej samej — ale i *teatru rybałtowskiego*.

Pierwszy warunek został o tyle spełniony, że zamiast wybrać jedną z komedii rybałtowskich (co byłoby możliwe dzięki dysponowaniu ich znaczną ilością przez prof. Badeckiego, poświęcającego się naukowemu badaniu i kolekcjonowaniu twórczości sowizdrzalskiej) — dokonano swojego rodzaju kompilacji, a raczej montażu kilku tych komedii. To rozwiązanie i tę pracę dokonaną przez Wandę Wróblewską, należy uznać za udaną. Potrafiła ona bardzo zgrabnie zmieścić w ramach swojej adaptacji charakterystyczne wątki komedii rybałtowskich i zespolić je w harmonijną całość fabularną, rozbawioną równie charakterystycznymi dla komedii rybałtowskiej i ciekawymi artystycznie intermediami, luźniej związanymi z akcją.

Słabszą stroną adaptacji jest język, który wydaje się być trochę „unowocześniony", choć kompetentny osąd w tym względzie należy już do fachowych językoznawców. Zresztą autorka adaptacji posłużyła się przy opracowywaniu tekstu prologu i posłowia innym językiem, bardziej archaizowanym i przyjemniej brzmiącym. Prolog był sam w sobie trafnym wprowadzeniem w charakter komedii i teatru rybałtowskiego przez to, że zawierał mocniej, niż w samej komedii zaakcentowane, właściwe dla utworów sowizdrzalskich momenty, które dzisiaj nazywamy „wydźwiękami społecznymi".

3.

Oceniając w sumie dodatnio pracę autorki adaptacji, Wandy Wróblewskiej, dzięki której pierwszy z wymienionych wyżej warunków został w zasadzie spełniony — trzeba, niestety, wyrazić ubolewanie, że nie znalazła ona pełnego zrozumienia u reżyserki Wandy Wróblewskiej, przez co nie został spełniony drugi z warunków. Nie uwypuklono tu bowiem dostatecznie cech komedii rybałtowskiej, a raczej uwypuklono je w sposób przestylizowany przez współczesne środki wyrazu artystycznego, zamazujące istotę komedii rybałtowskiej. Nie chodzi tu o żądanie, by nam ukazano „Powrót Albertusa" tak jak nam Szekspir pokazuje historię Pirama i Tysby w inscenizacji *rzemieślników* ateńskich, ale chodzi nam o to, by nam pokazano *rybałtów*, „przedstawiających historię i przygody Albertusa — księżowskiego parobka posłanego „w żołnierze".

Myśmy tymczasem ujrzeli artystów Teatrów Śląsko-Dąbrowskich, którzy z dużym realizmem i dopuszczalną we współczesnej farsie, czy nawet komedii, szarżą (nie we wszystkich zresztą rolach) zagrali w widowisku ze śpiewami i tańcami p. t. „Przygody Albertusa".

Możliwe, że ta koncepcja zapewni nawet większe powodzenie spektaklowi, bo przygody żołnierza - opoja, a zwłaszcza zaloty Marancji są bardzo zabawne, lecz zainteresowanie akcją usuwa zainteresowanie teatrem rybałtowskim, którego na scenie nie widzimy. A tu był potrzebny ten „teatr w teatrze". Brak jego powoduje, że przeciętny widz nie powie sobie po powrocie do domu: „A to ci wesołe rzeczy grali trzysta lat temu rybałci" — tylko powie: „A to pocieszną historię grają w teatrze w Sosnowcu" (czy w Katowicach).

Zdaje się, że w tym stanie rzeczy pożyteczność ukazania komedii rybałtowskiej znacznie się zmniejsza. Wiele wartości komedii rybałtowskiej (np. jako ówczesnej satyry społecznej) przepływa obok nas bez zwracania na siebie uwagi.

Braku charakteru teatru rybałtowskiego nie ratują takie umowności, jak drobne zmiany dekoracji, dokonywane przy otwartej kurtynie przez rybałtowskie pacholęta, fikające poza tym bardzo ładnie, ale raczej niepotrzebnie, koziołki i zderzające się tylnymi częściami ciała w poprawnych zresztą i świadczących o fachowości i dbałości przygotowania wstawkach choreograficznych (również opracowanych przez Wandę Wróblewską).

Wyrażone powyżej zastrzeżenie co do koncepcji reżyserskiej w „Przygodach Albertusa" byłoby główną i zasadniczą „kością niezgody" między reżyserką a autorem tego sprawozdania.

4.

Usuwając wspomnianą „kość niezgody", należy uczciwie ocenić wielką staranność i pracowitość Wandy Wróblewskiej w przygotowaniu spektaklu (nb. niełatwego zwłaszcza jako warsztat reżyserski).

Na wyróżnienie zasługują szczególnie sceny zbiorowe, jak scena z żebrakami lub scena igraszek bakchusowych. Cechuje je duża ekspresyjność. Majstersztykiem kompozycyjnym jest scena pijatyki przy stole. Precyzyjność jej wykonania wymaga osobnego uznania dla biorących w tej scenie udział aktorów).

Szkoda, że scenom tym brakowało pewnej śmiałości (a może wyczucia) w ich wyprowadzaniu w następne ogniwo akcji. Zamiast tego dostrzegaliśmy niezorganizowane synkopy, kończące sceny, proszące się o utrzymanie tempa do końca. Ten szybko następujący spadek napięcia, zamieranie tempa tam, gdzie raczej należało gwałtownie przejść do następnej sceny, powodował, że doskonale opracowane sceny pod koniec „rozpełzywały się" zamiast zagasnąć na drgającym tonie, jeśli już nie urwać się na najmocniejszym akordzie. Tak np. było ze sceną pozornych zaślubin Albertusa z Marancją. Gromadzący się przez całą scenę ładunek śmiechu nie wybucha, bo detonator — akcent końcowy sceny — jest za słaby.

Mimo tych usterek (łatwych chyba do usunięcia) reżyserii należy przypisać zasługę nadania spektaklowi potoczystości, będącej w znacznej mierze odkupieniem grzechu oszczędności skrótów, jakie jednak przydałyby się przy wystawianiu takiego, bądź co bądź, zabytku naszego piśmiennictwa dramatycznego, jakim jest komedia rybałtowska. Zwłaszcza, jeśli ukazuje się ją samą bez równoczesnego ukazania teatru rybałtowskiego. Ale to jest znowu powrót do już powiedzianego...

Tu należy stwierdzić, że technika reżyserska, widoczna w opracowaniu „Przygód Albertusa", nacechowana jest poprawnością, wielką starannością i znajomością „roboty" reżyserskiej.

5.

Z wykonawców naogół wszyscy dobrze wywiązali się z powierzonych im zadań. Może jedynie *Stanisław Winczewski* jako Albertus stworzył sobie własną koncepcję i zachował dostrzegalne czasami „mrugnięcia oka" do widowni, że „widzicie, jaki to ze mnie jest rybałt", odstawiający „Albertusa". A może poprostu wynikało to z faktu, że w tej komedii rybałtowskiej przez pewien czas gra komedię zakochanego w Marancji? Ale to już straszliwie skomplikowana artystycznie sprawa: grać rybałta, który gra w komedii rybałtowskiej — i w niej gra komedię... Brr... Nieskończoność.

Pozostali wykonawcy z przekonaniem i nawet przejęciem odtworzyli „persony" „komedii". *Helena Rozwadowska* stworzyła najbardziej „marancyjną" Marancję, jaką sobie można było wyobrazić. *Władysław Brochwicz* był imponującym Bucchusem, a *Marian Jastrzębski* najbardziej ruchliwym satyrem, a przed tem najbardziej utyskującym kucharzem spośród kucharzy świata. W obydwu „wydaniach" był bezbłędny.

Uwagę na siebie zwróciła jedna z „bab" — *Halina Piłatówna*, co zresztą nie powinno zachęcać jej do dalszej specjalizacji w tym „emploi" zwłaszcza, iż ma w nim już pewien staż.

6.

Dekoracje i kostiumy Zenobiusza Strzeleckiego przyczyniły się do barwności spektaklu. Panorama Krakowa denerwowała brakiem kopca Kościuszki, co oczywiście jest winą anachronizmu pamięci wzrokowej denerwującego się.

Włóczkowe peruki harmonizowały wystarczająco z kostiumami, średniowiecze. Zbroja, uzbrojenie i „rumak" Albertusa" były świetną całością, która w połączeniu z „joczkiem" przesuwających się drzew jako symbolu pochłanianej w drodze przestrzeni — wprowadzała moment przyjemnej groteski.

Muzyka, skomponowana przez Witolda Krzemieńskiego na współczesnych z komedią rybałtowską motywach uzupełniała artystycznie całość widowiska, a kierownictwo muzyczne w osobie Lecha Bursy doprowadziło do wolnej od „nieporozumień" synchronizacji muzyki z akcją i z wstawkami wokalnymi.

ZENON WIKTORCZYK

Teatralia wrocławskie

Nareszcie i Wrocław doczekał się jubileuszu artystycznego. Kiedy nasze miasto w rozbudowie życia kulturalnego zaczęło już dochodzić do „polskiej czołówki", ciągle jeszcze inne miasta spoglądały na stolicę Dolnego Śląska z pobłażliwą wyższością: „Co to za stolica, która nie ma nawet jubilata". Otóż nareszcie i my mamy swego jubilata, szczerze lubianego przez publiczność za swe kapitalne postacie z wielu komedii, a przede wszystkim za niezapomnianego Mazurkiewicza w „Żołnierzu królowej Madagaskaru", szanowanego i kochanego przez kolegów Wacława Zdanowicza.

Henryk Szletyński, pełnomocnik Min. Kultury i Sztuki dla spraw Państw. Teatrów Dolnośląskich

Zdanowicz, który w latach 1920 — 30 jako śpiewak operetkowy odnosił sukcesy w warszawskich teatrach „Nowości", „Nowym", „Operze Warszawskiej", „Qui pro quo" i „Kameralnym" (któż nie pamięta „Złotego chłopca", jak go wtedy nazywano w Warszawie, w okresie świetności operetki warszawskiej, obok Lucyny Messal, Niewiarowskiej, J. Redo, Mierzejewskiego, w operetkach „Orlow", „Japonka", „Dziewczę z Holandii"), a następnie z wielkim powodzeniem odbywał wraz z Niną Bolską tournée po wielkich skupiskach Polonii w Ameryce Północnej, znalazł się po wojnie na Ziemiach Odzyskanych we Wrocławiu, stając się najpopularniejszym aktorem naszego miasta. Jego metier to wodewil, rodzaj sztuki teatralnej przez długi czas zapoznany i dopiero obecnie zdobywający sobie należne mu miejsce, ze względu na niewątpliwe walory w akcji popularyzacji teatru.

Na uroczystościach jubileuszowych Zdanowicz wystąpił w roli ogrodnika Nonancourta w tuwimowskiej przeróbce „Słomkowego Kapelusza" Labicha.

Zapewne na jego roli jak zresztą i na całości widowiska odbił się ujemnie kryzys, jaki przechodził Państwowy Teatr Dolnośląski w związku ze zmianą na stanowisku generalnego dyrektora. Całość spektaklu premierowego nosiła cechy pośpiechu. Wiele oryginalnych i dowcipnych pomysłów reżyserskich na skutek niewykończenia nie dochodziło do publiczności. Jedynie bardzo pomysłowe i pełne humoru dekoracje oraz chwyty scenograficzne spółki: Przeradzka, Lange, Jędrzejowski oddawały lekkość dowcipu „Słomkowego kapelusza".

Cechy niewykończenia nosiła również premiera „Srebrnej szkatułki" Galsworthy'ego w Teatrze Popularnym, wystawiona również w owym okresie kryzysowym. Problem stosowania różnej miary sprawiedliwości w odniesieniu do klasy posiadającej i ludzi biednych w kapitalistycznym środowisku angielskim nie został odpowiednio wydobyty, gdyż przedstawicieli bogatej rodziny Barthwicków potraktowano jako rozhisteryzowanych idiotów, od których trudno wymagać poważnego podejścia do spraw sumienia. W koncepcji tej tylko Marian Nowicki jako Barthwick-senior wybrnął obronną ręką, dając realną postać zarozumialca, kryjącego zewnętrznymi pozorami wewnętrzną pustkę, podczas gdy lekkomyślny synalek, rozkapryszony, zepsuty młodzieniaszek, zapomniał o tym, że oksfordzkie studia, przy całym ubóstwie wewnętrznym dają właśnie bardzo staranny, zewnętrzny polor.

W przeciwstawieniu do rodziny Barthwicków sprzątaczkę p. Jones potraktowano zbyt intelektualnie i Jadwiga Hańska, choć w tej roli szczerze nas wzruszała, podążając za koncepcją reżyserską odbiegła od typu zabiedzonej i zahukanej żony bezrobotnego stangreta.

Kapitalną, niefałszowaną postać Jonesa, zagubionego w niezrozumiałej dla niego mentalności świata kapitalistycznego, prostego, uczciwego człowieka, którego długoletnie bezrobocie wpędziło w pijaństwo, a nawet rozluźniło więzy moralne, stworzył artysta o dużej indywidualności, Mieczysław Serwiński, trzymając na sobie cały ciężar trącącej już mocno myszką sztuki.

Jak już wyżej wspomniałem na stanowisku generalnego dyrektora Państwowego Teatru Dolnośląskiego nastąpiły zmiany. Ustąpił Jerzy Walden, który poniósł wiele zasług przy poprowadzeniu Teatru Wrocławskiego z małej, prowincjonalnej sceny do wielkiego koncernu, obejmującego we Wrocławiu 2 sceny dramatyczne, operę i filharmonię i trzy sceny prowincjonalne, obejmujące objazdy południową i zachodnią część Dolnego Śląska. Pełnomocnikiem Min. Kultury i Sztuki dla spraw Państwowych Teatrów Dolnośląskich został wybitny pedagog i reżyser dyr. Henryk Szletyński.

Na konferencji z przedstawicielami prasy oświadczył dyr. Szletyński, że w pierwszym okresie swej działalności będzie się starał przede wszystkim o powiększenie materialnej podstawy teatru, gdyż zbyt szczupłe subwencje w porównaniu z innymi teatrami (n. p. Opera Wrocławska otrzymuje 3 miliony 250 tysięcy zł subwencji, wobec 7 milionów otrzymywanych przez Operę Poznańską) nie pozwalają na wprowadzenie zadawalającego poziomu artystycznego.

Wielką bolączką, utrudniającą napływ artystów do Wrocławia, jest brak odpowiednich mieszkań. M. in. Wrocław utracił znakomitego aktora Jana Kurnakowicza, który nie mógł w naszym mieście znaleźć mieszkania.

Dyr. Szletyński zamierza również przeprowadzić pewną reformę organizacji widowni, polegającą na zwiększeniu zniżek indywidualnych w przeciwstawieniu do dotychczasowej polityki przedstawień sprzedanych.

W linii repertuarowej dyr. Szletyński nie zamierza w bieżącym sezonie przeprowadzać większych zmian celem uniknięcia niepotrzebnych i niekorzystnych dla teatru wstrząsów.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI

Gazeta przemówiła ludzkim głosem

PRÓBA WROCŁAWSKA.

Nie ma i nie prędko powstanie historia prasy polskiej na Ziemiach Zachodnich: rzadko też w dyskusji na temat upowszechniania kultury pojawi się głos, podkreślający ogromny wkład w tej dziedzinie polskiego słowa drukowanego, polskiej prasy która miała tu do wypełnienia zadanie podwójne: oprócz bowiem normalnej funkcji informacyjno-oświatowej musiała ona spełniać funkcję repolonizatora, krzewiciela i bojownika zwalczającego z pasją ostatnie ślady niemczyzny.

Autor tych słów nie jest predystynowany do czynienia jakichś rozważań, do zbierania jakichś przyczynków prasoznawczych. Pozostawmy to zadanie specjalistom. Nie wolno jednak przemilczać już teraz, z perspektywy czterech lat wkładu prasy polskiej w obudzenie życia na tych terenach, w aktywizacje miast i wsi, w ich planową imponującą odbudowę.

O rzeczach tych wspomina się na konferencjach prasowych, przemilcza jednak na bardziej oficjalnych trybunach. Po prostu każdy uważa pojawienie się dziennika na ulicy, jako rzecz najzwyczajniejsza a zdziwiłby się dopiero, gdyby któregoś dnia z przyczyn natury n. p. technicznej gazety tej w kioskach zabrakło.

Na innych terenach, w miastach, w województwach Polski centralnej czasopisma dysponują siecią stałych prenumeratorów. Tam dziennik czy pismo jest częścią składową dnia, jest tradycyjnym już przyjacielem i doradcą. Redakcja pisma na Ziemiach Zachodnich musiała przemawiać niejako w pustkę nie znając swoich czytelników, błądząc poomacku w ich gustach i upodobaniach, tysiąc razy zrażając sobie tych a pozyskując owych. Aby stworzyć tu dziennik, odpowiadający wszystkim, trzeba było mieć naturę kameleona i zwrotność kurka na dachu: z tylu bowiem grup, z tylu tradycji i przyzwyczajeń składało się społeczeństwo, tylu językami (w przenośnym znaczeniu) trzeba było do niego przemawiać.

Dlatego kwestia: poznać czytelnika, wczuć się w jego bolączki i radości, zrozumieć jego życie — stała się na tym terenie kwestią stokroć ważniejszą, stokroć bardziej decydującą, niż gdzie indziej.

Próby nawiązywania kontaktu z czytelnikiem Ziem Zachodnich na ogół jednak kończyły się fiaskiem. Nie można było go pozyskać tak łatwo: był wybredny aż za ostrożny, aż zbyt podejrzliwy. Nie wierzył każdemu. Zdobyć jego zaufanie: — znaczyło pozyskać rzecz nieosiągalną. Wzbudzić jego zainteresowanie — znaczyło albo schlebiać najniższym gustom, albo długo i cierpliwie szkolić, nieznużenie przemawiać mając ten cień nadziei, że zaledwie drobny procent słów dotrze do jego świadomości.

Związek Dziennikarzy we Wrocławiu jeszcze w roku 1947 próbował zbliżyć swoich członków do czytelników przez t. zw. „Gazetki Mówione". Organizowane w eleganckiej restauracji, straszyły swoim ekskluzywizmem, narażały na poważne koszta. Nic więc dziwnego że skończyły szybko swój żywot mimo podziwu godnych wysiłków organizatorów.

Wydawany przez Sp. Wyd.-Oświatową „Czytelnik" dziennik „Słowo Polskie" wskrzesił „Gazetki Mówione" przed kilkoma tygodniami we własnym lokalu. Organizowane są one na zasadzie absolutnej dobrowolności z ograniczeniem kosztów do minimum. Biletów wstępu nie pobiera się. Nie ma w ogóle żadnej numeracji miejsc. Zaciera się świadomie granicę między t. zw. estradą a widownią. W „redagowaniu" żywego dziennika bierze udział cała redakcja i nie tylko ona: zaprasza się do redagowania widownię.

Aby nie czynić programu zbyt nużącym organizatorzy uzyskali chętną współpracę „współredagowanie", jak to nazywają, ze strony artystów miejscowej opery i teatru i ze strony całego świata literacko-artystycznego.

Opierając się na doświadczeniach kilku zorganizowanych już wieczorów, można wysnuć wniosek: eksperyment udał się w zupełności. Na pierwszym wieczorze sala napełniona była po brzegi i kilkaset osób musiało stać. Na drugim liczba publiczności jeszcze bardziej wzrosła, tak, że organizatorzy stanęli przed trudnym dylematem w jaki sposób ograniczyć frekwencję. Próbowano zmniejszać do minimum środki reklamy, prowadzone zresztą tylko na łamach pisma. I to nie pomogło: publiczność przybywała na salę już na godzinę przed rozpoczęciem programu.

Czy program był specjalnie atrakcyjny? Zanotowany był dosłownie na kolanie, nosił cechy wielkiej improwizacji. Nikt nie przygotowywał się do odegrania jakichś ról. Nikt nie usiłował stworzyć pozorów jakiejś teatralnej fikcji w słusznym przekonaniu, że w ten sposób skręci na drogi najtańszej amatorszczyzny. Po prostu redakcja pracowała, jak normalnie publiczność przyglądała się jej pracy, konferansjer udzielał wyjaśnień.

Czy świadczy to o jakiejś specjalnej popularności dziennika? Także nie. Po prostu znaleziono drogę do nawiązania kontaktu z czytelnikiem. Rzecz jasna, czytelnik chciał obejrzeć tych ludzi których codzień czytuje: jedni pociągali drugich, aż sala okazała się za mała. Publiczność chciała zobaczyć artystów takimi, jacy są na codzień — dlatego organizatorzy zwracają baczną uwagę, aby nikt nie występował w świątecznych ubraniach. Wszystko musi być tak, jak codzień. Bez kurtyny i długich sukien śpiewaczek. Bez sztampy rewiowej i tanich dowcipów. Jak najbardziej szczerze.

Na jednym z pierwszych wieczorów pokazano publiczności pracę działu depeszowego, przemycając niejako sporą dozę wiadomości politycznych. Okazało się, że trafiły one na chętnych słuchaczy nadawane przez radio przy zgiełku dalekopisów i normalnych rozmów redaktorów depeszowych. Zorganizowano cały cykl popularnych prelekcji na tematy: jak odczytać obraz? jak słuchać muzyki? z odpowiednimi ilustracjami wizualno-wokalnymi, przy czym prelegentami byli wybitni znawcy przedmiotu. Po każdej takiej prelekcji ze strony widowni padały pytania, z początku nieśmiałe, potem coraz bardziej natarczywe. Wywiązywała się pożyteczna dyskusja dla obu stron.

Występy natury „poważniejszej" przeplatane były recytacjami aktorskimi względnie odczytywaniem felietonów humorystycznych. Część ostatnia poświęcana była z reguły występom artystycznym. Nie rezygnowano również z ilustracji pracy działu sportowego: pokazowe walki bokserskie w tempie zwolnionym budziły łatwo zrozumiałe zainteresowanie.

Jednym z głównych powodów powodzenia całej imprezy była jej absolutna nowość i odrzucenie wszelkich gotowych, istniejących już schematów. Idąc po wąskiej ścieżce między rewią a nudnawymi prelekcjami organizatorzy żywego dziennika potrafili właśnie przez zachowanie pełnej bezpośredniości pozyskać sobie publiczność. Podczas bowiem występów na „estradzie" poruszają się swobodnie członkowie zespołu redakcyjnego, sama zresztą estrada obsadzona jest również gośćmi artyści występują z niej nawiązują rozmowy z widownią, bez żadnego uprzedniego przygotowania i reżyserii. Konferansjerka zbiorowa, nie stereotypowa, improwizowana również w ostatniej chwili.

Niewątpliwie „gazety mówione" we Wrocławiu wytworzą z czasem pewien schemat i trzeba będzie myśleć o ich renowacji. Obecnie jednak są dopiero w fazie swego rozwoju i całkowicie wystarcza im ten program, który został już wypracowany.

Jaka jest doraźna korzyść, płynąca z „gazet mówionych"?

Po pierwsze: zespół redakcyjny ma możność poznania swoich czytelników o bardzo różnorodnym składzie socjalnym. Przez to poznanie i zbliżenie „gazety mówione" stają się kopalnią tematów podsuwanych głośno podczas dyskusji przez czytelników. Czytelnicy po prostu dyktują redakcji, co chcieliby w gazecie czytać na jakie pytania chcą znaleźć odpowiedź.

Po drugie: czytelnicy zapoznają się bezpośrednio z pracą redakcji, otrzymują żywą barwną ilustrację gazety, patrzą na nią po takiej imprezie zupełnie innymi oczyma. Zawiązany zostaje kontakt którego tak bardzo w tych miastach brakowało, kontakt szczery, żywy i bezpośredni. „Gazety mówione" wzbudzają zaufanie czytelnika do pisma z chwilą, kiedy przekonuje się on że za suchymi nazwiskami i artykułami kryją się żywi ludzie. Każdy problem nabiera krwi, zaczyna żyć. „Gazety mówione" są przełamaniem szablonu dziennikarskiego i jako takie nie znajdują bezpośredniego precedensu mimo czynionych już tu i ówdzie w tym kierunku prób.

Dlatego właśnie chcemy na nie zwrócić uwagę nie tylko kół wrocławskich, dostatecznie już zainteresowanych. Może właśnie we Wrocławiu i właśnie na Ziemiach Zachodnich tego rodzaju imprezy, jak już podkreśliliśmy na samym początku, mają specjalne znaczenie. Niewątpliwie spotkają się one z życzliwym przyjęciem również w całej Polsce, wszędzie tam gdzie istnieją pisma, znajdujące oddźwięk w szerokich rzeszach czytelniczych.

Próbę wrocławską traktować możemy jako całkowicie udaną. Po raz pierwszy bowiem we Wrocławiu gazeta przestała być paru kartkami lichego papieru, a stała się ciałem, pulsującym krwią, tętniącym życiem.

LESZEK GOLIŃSKI.

wśród CZASOPISM

Zainteresowanie współczesną literaturą amerykańską, zwłaszcza tym jej odłamem, który określamy jako postępowy, wyszło już ze stadium teoretycznego, kiedy to przyjmowaliśmy na wiarę mniej lub więcej słuszne sądy o tej literaturze naszych przypadkowych krytyków i również przypadkowych informatorów. Czołowe firmy wydawnicze dały w ostatnich dwóch latach sporą liczbę przekładów powieściopisarzy amerykańskich, w teatrach polskich ukazały się sztuki amerykańskich autorów. W ten sposób narósł materiał bezpośredni, który pozwala już na sprawdzenie dotychczasowych opinii i na niejedną korektę. Zainteresowania wydawców polskich rozszerzyły się już nawet na postępowych pisarzy południowo - amerykańskich. Poprzez czasopisma literackie dociera już do nas także i poezja narodów amerykańskich. Ta druga faza naszych kontaktów z literaturą drugiej połowy świata ostudziła przede wszystkim zapały pierwszych entuzjastów literatury amerykańskiej na wiarę. Dziś, nie kierowani nawet żadnymi uprzedzeniami natury światopoglądowej i nie posługując się przesłankami, wynikającymi z konfliktów, spowodowanych zagraniczną polityką Stanów Zjednoczonych, patrzymy już na literaturę Ameryki o wiele krytyczniej i widzimy wyraźniej wszelkie jej niedostatki. Jako Europejczycy, a nawet jako Polacy możemy patrzeć na nią jako na zjawisko pod niektórymi względami wyraźnie zapóźnione, nie nadążające za rozwojem myśli europejskiej, która zachowuje nadal jeszcze cechy i przywileje myśli światowej. Bo powieść amerykańska reprezentuje przede wszystkim kierunek, który czołowe literatury Europy i literatury pomniejsze, za nimi nadążające, dawno już pozostawiły za sobą, co więcej, kierunek, z którym literatury te wyraźnie i zdecydowanie walczą. Kierunkiem tym jest naturalizm, który w najlepszych wypadkach nosi cechy przezwyciężonego już u nas lub coraz skuteczniej przezwyciężanego realizmu mieszczańskiego, rejestrującego i opisującego. Jak dotychczas cała postępowość pisarzy amerykańskich wyraża się przede wszystkim w surowym opisie obserwowanej rzeczywistości, w ukazywaniu „nagiej prawdy" życia społecznego. Postępowość tych pisarzy leży w tym, że prawdę tę widzą, że ją sobie uświadamiają, że rzucają na nią krytyczne, czasem ostre i brutalne światło, tak brutalne, że zakrawające niekiedy na okrutną, ponurą groteskę (np. Eskine Caldwell w „Drugiej Ameryce", Klub Odrodzenia). Dlatego coraz więcej szukamy w powieściach amerykańskich faktów i obrazu życia, o coraz mniej odnajdujemy tam postępowych zdobyczy artystycznych i zdobyczy myśli. Mogliby nam jeszcze pisarze amerykańscy zaimponować doskonałością rzemiosła pisarskiego, ale na to potrzebne są oryginały.

Tych kilka refleksji nasunęło się czytelnikowi prasy literackiej przy lekturze 15-go numeru *Odrodzenia*, który przyniósł obszerny artykuł informacyjny *Żagarysty* p. t. „Dwie książki o wojnie". Artykuł ten będący tylko literackim streszczeniem (ale streszczeniem doskonale napisanym) dwóch nowych powieści amerykańskich, czyta się z wyjątkowym zainteresowaniem. Bo spojrzenie oczyma pisarza tamtej półkuli na sprawy minionej wojny jest godną uwagi i pasjonującą nowością. Omawiane przez Zagarystę książki to dwa debiuty. Pierwszy autor to dwudziestoletni Murzyn *Wiliam Gardner Smith*, ktorego pierwsza powieść opowiada o okupacji amerykańskiej w Niemczech (tytuł „Last of conquerors" — ostatni ze zwycięzców) i daje niesłychanie ciekawy opis przeżyć Murzyna, który jako podoficer armii amerykańskiej znalazł się w Niemczech w roli zwycięzcy, zbierającego pospolite owoce zwycięstwa razem z miłością niejakiej Ilse. Autor artykułu nie wychwala powieści, pisze o jej wyraźnych brakach zrozumiałych przy debiucie w tym wieku, ale konkluzje, jakie dadzą się wysnuć z zawartego w niej materiału, są rzeczywiście godne bliższego poznania. Znacznie większą wartość artystyczną posiada drugi debiut, powieść „The Naked and thy Dead" (Nadzy i umarli) dwudziestopięcioletniego uczestnika walk na Pacyfiku *Normana Mailera*. Obszerne streszczenie i opis powieści Mailera wywiera głębokie wrażenie. Różnorodność typów spraw, śmiałość kompozycyjna w urabianiu tak obszernego materiału charakterologicznego świadczą na oko o wysokich walorach książki. Dlatego trudno zgodzić się z Żagarystą, który streszczenie książki usprawiedliwia, m. in. i tym, że rozmiary jej (700 stron) zamykają jej drogę na rynek polski. Nie zapominajmy o tym, że mamy planowanie polityki wydawniczej, że na półki księgarskie nie przedostają się już tak obficie reprezentowana w latach 1946 i 1947, a nawet jeszcze i w 1948 szmira, że skończyliśmy z kryminałami Marczyńskiego i Romańskiego, z Maine Reidami itp. Zaoszczędzony w ten sposób papier pozwala na dysponowanie jego zapasami na cele naprawdę tego godne. Skoro ukazało się — i to, o ile się nie mylę, w dwóch wydaniach „Przeminęło z wiatrem", myślę, że na interesującą i pożyteczną książkę Mailera papieru w Polsce nie braknie. Przypuszczać należy, że artykuł Żagarysty w *Odrodzeniu* zwróci na nią uwagę któregoś z poważnych wydawców polskich.

Omawiany numer *Odrodzenia* przynosi jeszcze artykulik informacyjny o prasie, radiu i filmie amerykańskim pióra Grzegorza Jaszuńskiego. Informacje nie są banalne i warto się z nimi zapoznać.

Z innych zupełnie względów interesujący jest artykuł filmowy Mariusza Margala „Chochołów w lutym 1949" również w tym samym numerze. Jest to sympatycznie napisany reportaż z prac polskiej ekipy filmowej, która pod kierunkiem włoskiego reżysera kręciła w Chochołowie i Tatrach film pełnometrażowy z życia WOPu. Oczekujemy na ten film z niecierpliwością. Dawno bowiem nie widzieliśmy dobrego filmu z zimy w górach. W reportażu Margala zwraca jednak uwagę obszerny ustęp końcowy, poświęcony przeszłości samego Chochołowa i powstania górali chochołowskich w r. 1846. W tym materiale, który szkicuje Margal, leży temat do wspaniałego filmu i temat ten powinien bezwzględnie znaleźć się w planach Filmu Polskiego w najbliższym czasie. Podstępny handel swobodą chłopów chochołowskich i ich walka same układają się w imponujący głębokością treści społecznej obraz.

Na marginesie tego artykułu uwaga o pamiętnych jednego z przywódców powstania chochołowskiego organisty Andrusikiewicza. Margal pisze, że pamiętniki te znajdowały się podobno w Nowym Sączu. Piszący te słowa zetknął się z nimi przypadkiem w czasie krótkotrwałych poszukiwań za innym materiałem w katalogu rękopisów biblioteki Ossolińskich we Lwowie (chociaż dziś nie przysiągłbym, czy nie była to Biblioteka Baworowskich, gdzie prowadziłem rękopiśmienne poszukiwania równocześnie). Mam nawet wrażenie, że przelotnie miałem je w ręku, gdyż sprawy góralszczyzny interesowały mnie wówczas szczególnie blisko. Niestety, wśród zachowanych notatek bibliograficznych noty dotyczącej tych pamiętników, nie znalazłem. Przypuszczam, że dotarcie do tego materiału nie powinno nasuwać trudności. (ki)

JAN BARANOWICZ

ŁĄKA
SKOWRONKÓW

*

KATOWICE 1948
NAKŁADEM ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW POLSKICH
ODDZIAŁ ŚLĄSKI

KORESPONDENCJA

Czy pan „Trzpis" czy o drogę pytasz?

Kilka słów spóźnionej odpowiedzi p. Leszkowi Golińskiemu.

W numerze 43 Odry z dnia 25. X. 48 r. w artykule „Chmura nad Wrocławiem", reportaż optymistyczny ob. Leszek Goliński, pisząc o Wrocławiu, powiedział:

„Zbyt pobieżnie zaliczono go do szeregu Krakowa", do szeregu miast nabrzmiałych historią, czy jak chce Sztaudynger, „cuchnących historią". Sądzę, że dała mu do tego powód moja fraszka drukowana w „Dzienniku Literackim", dołączonym do nr. 133 „Dziennika Polskiego" z dn. 16. V. Brzmi ona:

Kawa cykorią
Kraków popsuty historią

Nigdy natomiast nie użyłem wyrażenia „miasta cuchnące historią". P. Leszek Goliński, przekręcając moje powiedzenie, zatemperował je w sposób, który mnie jako krakowianina razi.

Kraków rozpieszczony (zepsuty) historią nie jest jednoznaczny z Krakowem cuchnącym historią.

*

Ob. Trzpis napisał przed wojną książkę o Stefanie Garczyńskim, książkę pełną miłości i pietyzmu. Olbrzymia ta kobyła naszpikowana była cytatami, jak indyk farszem. A co trzecia cytata była przez Trzpisa w sposób najbardziej fantastyczny przekręcona.

Tyle dla wyjaśnienia tytułu mej odpowiedzi.

Jan Sztaudynger
Łódź.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik. Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.

R 011567